NR 25 (1898) 24 CZERWCA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

TYSOL.PL

Wielka ucieczka z ZIELONEJ PUŁAPKI

- MÜNCHAU O KLĘSCE NIEMIEC
- GIETRZWAŁD OBRONIONY

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 25 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

eprasa.pl e740969244

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl e740969244

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Dziesięć lat temu w wyborach prezydenckich postawił na szerzej nieznanego Andrzeja Dudę i sprawił, że kandydat PiS wygrał. Co więcej, prezydent okazał się prawdziwym obrońcą silnej, ale przyjaznej obywatelom Polski.

W tegorocznych wyborach nie bał się poprzeć obywatelskiego kandydata – Karola Nawrockiego. I również osiągnął sukces. Niektórzy żartują, że jeśli przegrany w wyborach już dwukrotnie Rafał Trzaskowski mógłby kiedykolwiek wygrać wybory, to musiałby być wystawiony przez Jarosława Kaczyńskiego.

Nazwisko Kaczyńskiego od dekad rozpala emocje, jednak niezależnie od politycznych sympatii trzeba przyznać: to polityk nieprzeciętny. A może nawet wizjoner. Taki, który nie tylko przeżył historię najnowszą, ale współtworzył jej scenariusz.

Właśnie trafia do czytelników niezwykła książka pod tytułem „Jarosław Kaczyński. Realista i wizjoner" pod redakcją m.in. Adama Chmieleckiego, dyrektora operacyjnego w Fundacji Promocji Solidarności, publikującego m.in. w „Tygodniku Solidarność". Książka to zbiór kilkudziesięciu relacji osób, z którymi współpracował na swojej politycznej drodze były premier.

W publikacji pod redakcją Adama Chmieleckiego i prof. Jana Drausa czytamy: „Jest nie tylko świadkiem najnowszej historii, ale także liderem największej formacji politycznej, dla wielu Polaków nadzieją na silną, solidarną i suwerenną Rzeczpospolitą". I trudno się z tym nie zgodzić. W końcu to polityk, który od udziału w protestach w 1968 roku poprzez działalność w KOR-ze, a potem w Solidarności (a także jako redaktor naczelny „TS") przeszedł drogę aż do biurka prezesa partii rządzącej w XXI wieku. I nie wygląda na to, żeby planował odpoczynek.

W czasach, gdy kariera wielu polityków przypomina meteor – błysk i zniknięcie – on wciąż trwa, i to z wyborczym mandatem. To „fenomen na skalę europejską", jak zauważają autorzy.

W czasach, gdy kariera wielu polityków przypomina meteor – błysk i zniknięcie – Jarosław Kaczyński wciąż trwa, i to z wyborczym mandatem.

Jego trwałość zawdzięcza nie tylko odporności i instynktowi, ale też trafnym diagnozom społecznym. Już w latach 90. mówił o potrzebie chrześcijańsko-demokratycznej alternatywy wobec liberalno-postkomunistycznego kursu III RP. I to dziedzictwo Solidarności, z całym bagażem chrześcijańskich wartości i społecznej empatii, pozostało fundamentem jego programu aż do dziś.

Ale Jarosław Kaczyński nie jest tylko strażnikiem przeszłości. To gracz, który potrafi przystosować dawną wizję do nowych realiów. Najlepszym przykładem było postawienie w wyborach prezydenckich na młodego, ale hołdującego tradycyjnym wartościom, Karola Nawrockiego.

Kaczyński wciąż pozostaje aktywnym uczestnikiem życia publicznego. Jego wizja państwa silnego, sprawczego, zakorzenionego w tradycji, ale walczącego o podmiotowość w Europie nadal znajduje posłuch.

Oddajmy jeszcze raz głos Adamowi Chmieleckiemu i prof. Janowi Drausowi: „Jednym z kluczy do analizy całej obecności Jarosława Kaczyńskiego w życiu publicznym i jej głębokiego sensu może być podmiotowość, rozumiana jako trwała zdolność danej jednostki, grupy osób, instytucji lub organizacji do świadomego podejmowania suwerennych i racjonalnych działań we własnym interesie oraz wywierania wpływu na decyzje władzy politycznej".

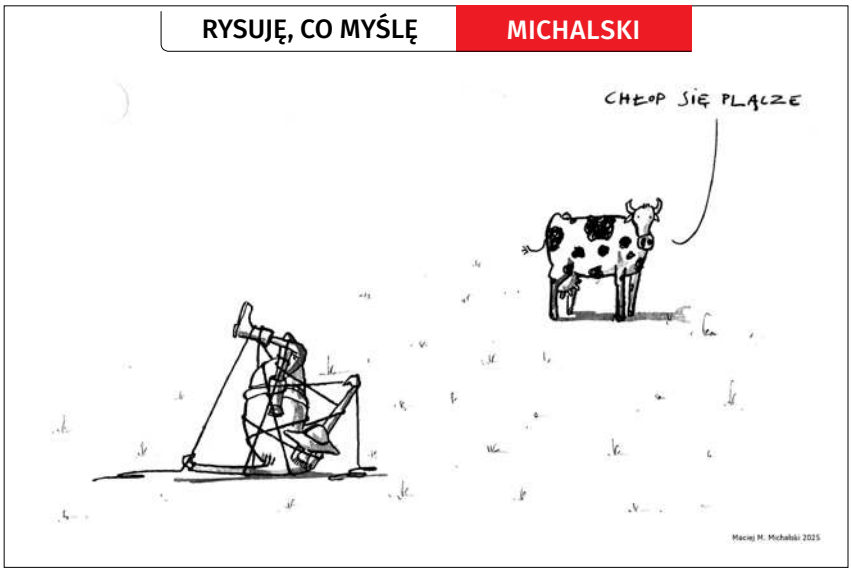

eprasa.pl e740969244

24.06.2025
WYDANIE Nr
25

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Zielony Ład – presja ma sens

8	Zielony Ład – presja „S” ma sens
10	Jaki jest klimatyzm, każdy już widzi
14	Zielony Ład już nie taki dobry
18	Zielony Ład. Śmierć prawdziwa czy pozorowana?

KRAJ

Nie faszysta, nie liberał, raczej patologia 22
Chodzi o budowanie realnych zdolności obronnych. Rozmowa z gen. broni rez. D. Łukowskim 25
Wygaszanie Trzaskowskiego 28
Powyborczy klimat na lewicy 30
Czy rząd doceni pracowników pomocy społecznej? 34
Troje dziennikarzy „Tygodnika Solidarność” z nagrodą i wyróżnieniami SDP! 38

ZAGRANICA

Autorytarny dryf Unii Europejskiej 42
Niemcy są technofobiczne. Rozmowa z W. Münchauem 46

KULTURA

Mainstream nie jest gotowy na moją muzykę. Rozmowa z Diiyą 48
„Intersection”. Ważne pytania w nieludzkim świecie 52

SPOŁECZEŃSTWO

Ja, ojciec 56
Kiecka a sprawa polska 59

RELIGIA

Gietrzwałd obroniony 62

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

Turyści (nie) mile widziani 66

ZWIĄZEK

Co w związku 70

FELIETONY:

OKRASKA 7
SKWIECIŃSKI 13
GAC 17
KRYSZTOPA 65

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 37
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 45
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 54
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 69
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl e740969244

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

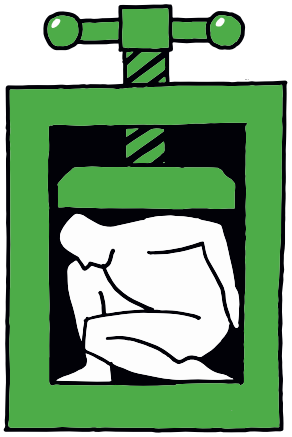

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl e740969244

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl e740969244

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Zawsze minimum

Podwyżka płacy minimalnej dla zatrudnionych na pełen etat od wielu lat budzi kontrowersje. Oczywiście niezasłużenie, bo co można mieć przeciwko temu, by płace najsłabszych pracowników nie były mrożone, lecz waloryzowane corocznie przynajmniej o wskaźnik inflacji lub więcej? Jak widać, niestety jakakolwiek podwyżka płacy minimalnej jest solą w oku – nie tylko przedsiębiorców, którzy „czują się zmuszani" do podwyższania wynagrodzeń i „ich firma może tego nie wytrzymać", ale także lepiej zarabiającej części społeczeństwa oraz… rządu. To właśnie rząd Koalicji 13 grudnia stoi na straży odwiecznych platformianych zasad prowadzenia gospodarki płacami, czyli głodzenia, mrożenia, niepodwyższania bądź rzucania w eter bon motów o podwyżce rzędu kilku złotych, czym ostatnio wsławił się minister finansów Andrzej Domański.

Gdy podwyżkami zajmował się poprzedni rząd, były one torpedowane przez obecnie rządzących. Słyszało się na porządku dziennym, że wprowadzane podwyżki są „skokowe" oraz groźne dla kondycji polskich firm, że ich wprowadzanie skończy się galopującą inflacją lub bezrobociem. Za rządów Prawa i Sprawiedliwości płaca minimalna wzrastała rzeczywiście spektakularnie, bo pomiędzy 2015 r. (ostatnia podwyżka wprowadzona przez rząd Ewy Kopacz, podnosząca płacę do 1850 zł brutto) a 2021 r. (gdy Mateusz Morawiecki zadekretował kwotę 2800 zł brutto) wzrost ten wyniósł aż 51,4%. I to nie był koniec – kiedy PiS oddawał władzę, minimalna przekraczała 4000 zł. Nie brakowało wtedy krytyków, którzy podkreślali, jak bardzo ten wzrost jest „fasadowy", bo miał powodować wzrost cen. Ani ceny żywności, ani wynajmu nie rosły jednak tak szybko ani tak znacznie, jak pensja minimalna. Przykład z lokalnego podwórka: w 2015 r. otrzymywałam minimalną 1286 zł, a za wynajem mieszkania płaciłam 850 zł, co było atrakcyjną ceną, bo niczym niespotykanym nie była kawalerka wyceniana na całość minimalnej. Z obecnych 3510 zł netto da się wynająć w małej miejscowości kawalerkę za 1,5–2 tys. złotych, a za resztę przeżyć.

Taka konsekwencja w podnoszeniu płacy minimalnej była ewenementem, bo wzrosty rok do roku potrafiły wynosić 7–15%. Po stronie ówczesnej opozycji oburzało to właściwie wszystkich, łącznie z obecną ministrą pracy Agnieszką Dziemianowicz-Bąk, która jednak poszła po rozum do głowy i teraz rekomenduje wzrost pensji o kwotę wyższą nawet od tej, którą postulowały związki zawodowe. Nic z tego jednak ostatecznie nie wynika, ponieważ, jak wszyscy wiemy, Dziemianowicz-Bąk nie ma wiele do powiedzenia w rządzie Donalda Tuska. Nowa płaca minimalna prawdopodobnie wyniesie 4806 zł brutto, co oznacza wzrost o 140 zł, czyli o 3%. Propozycja ta zostanie teraz przedstawiona Radzie Dialogu Społecznego.

Zostałam ostatnio pouczona, że wynagrodzenia podaje się brutto, nie netto – to oczywiste, ale nikt nie myśli o swoim rozporządzalnym dochodzie w kwotach brutto. Warto zatem podkreślić, że nowa minimalna, jeśli zostanie wprowadzona w takim kształcie, będzie wynosiła 3606 zł na rękę. Warto walczyć, by wzrastała.

eprasa.pl e740969244

Temat Tygodnia

ZIELONY ŁAD

– presja „S” ma sens

1) marzec 2007 r.
Unia przyjmuje założenia polityki klimatycznej (obniżyć emisje 60–80% do 2050 r.). NSZZ „Solidarność” zwraca się do premiera Jarosława Kaczyńskiego o podjęcie pilnych działań w celu zweryfikowania przez Komisję Europejską limitu emisji CO_2 dla Polski.

2) styczeń 2008 r.
NSZZ „Solidarność” prosi premiera Donalda Tuska o korektę rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie emisji CO_2 na lata 2008–2012. Obowiązujące limity doprowadzą – zdaniem „S” – do radykalnego wzrostu cen energii. Donald Tusk ignoruje prośbę.

3) luty 2011 r.
Komisja Trójstronna na wniosek NSZZ „Solidarność” przyjmuje projekt uchwały w sprawie europejskiej polityki klimatycznej. W dokumencie podkreślono konieczność jej głębokiej rewizji w celu minimalizacji kosztów społecznych i gospodarczych.

4) czerwiec 2011 r.
Warszawa – 80-tysięczna demonstracja zorganizowana przez NSZZ „Solidarność”, związkowcy sprzeciwiają się unijnej polityce klimatycznej pod hasłem „Polityka wasza – bieda nasza”. Rząd PO – PSL udaje, że nie wie, o co chodzi.

5) wrzesień 2011 r.
Przewodniczący „S” Piotr Duda w piśmie do premiera Tuska przypomina obietnicę powołania wspólnego rządowo-związkowego zespołu w sprawie pakietu klimatycznego. Premier ignoruje prośbę.

6) wrzesień/październik 2011 r.
Powstaje zespół ekspertów NSZZ „Solidarność” złożony z naukowców z uznanych polskich uczelni, ekonomistów, klimatologów, ekspertów energetycznych i gospodarczych, prawników i socjologów oraz reprezentantów Związku.

7) listopad 2011 r.
List otwarty NSZZ „Solidarność” do prezydenta Bronisława Komorowskiego w sprawie pakietu klimatycznego nt. spodziewanych skutków wdrożenia pakietu oraz niewypełnienia złożonej przez premiera obietnicy stworzenia wspólnego eksperckiego zespołu rządowo-związkowego w tej sprawie.

8) marzec 2012 r.
Instytut Ekonomiczny NBP publikuje sporządzony na prośbę „S” raport dotyczący skutków wprowadzenia pakietu klimatycznego w Polsce. „W Polsce, podobnie jak w pozostałych nowych krajach członkowskich, negatywny wpływ wprowadzenia pakietu na gospodarkę będzie wyższy niż przeciętnie w całej UE” – piszą w nim eksperci.

9) lipiec 2012 r.
Zespół Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” ds. Polityki Klimatycznej zwraca się do premiera Donalda Tuska z wezwaniem do podję-

Proj. A.Ch.

cia bardziej zdecydowanych działań mających na celu ograniczenie negatywnych skutków unijnej polityki klimatycznej dla Polski.

10) październik 2012 r.
Powstaje międzyzwiązkowy Komitet Protestacyjno-Strajkowy na Śląsku zrzeszający największe centrale związkowe w regionie. Jednym z głównych postulatów jest wprowadzenie systemu rekompensat dla przedsiębiorstw dotkniętych skutkami Pakietu Klimatycznego.

11) wrzesień 2014 r.
Trzy centrale związkowe – OPZZ, NSZZ „Solidarność" i FZZ – we wspólnym liście do premiera Donalda Tuska domagają się, by Polska odrzuciła projekt Komisji Europejskiej zaostrzający politykę klimatyczną UE.

12) listopad 2017 r.
W liście do europarlamentarzystów Solidarność stanowczo domaga się zmian zasad funkcjonowania systemu handlu emisjami (EU ETS), dowodząc, że dokument jest skrajnie niekorzystny dla polskiej gospodarki.

13) październik 2020 r.
„Analizując przebieg ostatnich wydarzeń, w tym działania i zaniechania rządu w tej dziedzinie, wyraźnie widać, że w zakresie transformacji energetycznej nie ma przed Polską perspektywy 50–60 lat" – pisze w stanowisku dotyczącym transformacji energetycznej Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" oraz jej zespół ds. polityki klimatycznej. Domaga się też rozmów z rządem Mateusza Morawieckiego. Związkowcy twierdzą, że „polityka klimatyczna Unii Europejskiej, pod pozorem ochrony klimatu, to w istocie program zmierzający do marginalizacji rozwijających się gospodarek, w tym polskiej".

14) czerwiec 2021 r.
Warszawa – manifestacja solidarności z pracownikami KWB „Turów" po decyzji Trybunału Sprawiedliwości UE nakazującej wstrzymanie wydobycia węgla w Turowie. Dla Solidarności to dowód, że polityka klimatyczna w sposób realny zaczyna uderzać w bezpieczeństwo energetyczne Polski.

15) październik 2021 r.
Luksemburg – protest przeciwko decyzji sędzi TSUE o zamknięciu KWB „Turów". – Zamykamy ten trybunał niesprawiedliwości – powiedział wówczas przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda.

16) 6 marca 2024 r.
Warszawa – demonstracja NSZZ RI „Solidarność" wspierana przez NSZZ „Solidarność". – To nie jest koniec, to dopiero początek naszego marszu, aby ten „zielony nieład", „zielony jad" wyrzucić głęboko do kosza – mówił wtedy Piotr Duda.

17) 10 maja 2024 r.
Wielki protest NSZZ „Solidarność" i NSZZ RI „Solidarność" pod hasłem „Precz z Zielonym Ładem!". – Nie będzie łatwo, może będziemy szli długą drogą, ale długą drogą do zwycięstwa – zapewniał w przemówieniu Piotr Duda. Solidarność rozpoczyna zbieranie podpisów pod wnioskiem o referendum ws. Zielonego Ładu.

18) 5 września 2024 r.
Prezentacja raportu pt. „Drapieżny Zielony (nie) Ład", przygotowanego na zlecenie NSZZ „Solidarność" i opracowanego przez wielu cenionych ekspertów zajmujących się z różnych perspektyw polityką klimatyczną. Omówienia raportu dokonał podczas XXXIII Forum Ekonomicznego w Karpaczu Bartłomiej Mickiewicz.

19) 7 lutego 2025 r.
Protest przeciwko polityce tzw. Zielonego Ładu w Gdańsku. – Ci szkodnicy z Europy, czyli tzw. kolegium komisarzy europejskich na czele z tą tutaj oto kobitką, niejaką Ursulą von der Leyen, ale także ci nasi szkodnicy z Polski, czyli polski rząd, który szkodzi społeczeństwu i szkodzi polskim pracownikom i rolnikom. Dzisiaj spotykają się, aby znowu rozmyślać albo przygotowywać rozwiązania, które mają utrudnić życie Polakom i wszystkim pracownikom w Unii Europejskiej – przekonywał Piotr Duda.

20) 13 lutego 2025 r.
Kandydat na prezydenta Karol Nawrocki podpisuje umowę programową z Komisją Krajową NSZZ „Solidarność". Deklaruje w niej m.in., że będzie dążył do zmiany polityki tzw. Zielonego Ładu w Polsce, a dokładnie „podjęcia działań hamujących negatywne skutki wynikające z polityki Europejskiego Zielonego Ładu, w tym w szczególności złożenia do Senatu RP wniosku o przeprowadzenie referendum w sprawie implementacji założeń polityki klimatycznej UE zawartej w Europejskim Zielonym Ładzie".

21) 10 czerwca 2025 r.
Trybunał Konstytucyjny wydaje wyrok dotyczący implementacji w Polsce Zielonego Ładu. „Narzucanie Polsce Zielonego Ładu łamie konstytucję" – stwierdza Trybunał.

Jaki jest klimatyzm, każdy już widzi

Rys. Krzysztof Kamikowski

Jeszcze rok temu była to „teoria spiskowa". Rzecz jasna „prawicowa", a nawet „skrajnie prawicowa". Tylko „świry" i „szury" w to wierzyły. „Pisiory", „konfiarze", „solidaruchy". Tak przekonywano. Dziś nawet mainstreamowe media informują, że „transformacja energetyczna" **oznacza duży wzrost kosztów życia**. Uderzenie w słabszych i zubożenie średniaków.

Remigiusz Okraska

W ubiegłym roku Wanda Buk i Marcin Izdebski przygotowali raport „Analiza wpływu ETS2 na koszty życia Polaków". Był to pierwszy dokument, który fachowo i konkretnie wyliczał nadchodzące skutki unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla.

eprasa.pl e740969244

Ceny w górę

Pierwsza wersja ETS nie odbiła się w znaczący sposób na portfelach społeczeństwa. Faza druga to swoiste turbodoładowanie. ETS2 to nie tylko znacznie wyższe ceny za uprawnienia do emisji przemysłowych. Opłaty obejmą także transport/paliwa i budownictwo/mieszkania.

Buk i Izdebski pisali: „Nowy system obejmie opłatami emisje pochodzące ze spalania paliw przez gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa dotychczas nie objęte systemem ETS1, m.in. małe ciepłownie, piekarnie, gastronomie, sklepy. Dodatkowe koszty będą ukryte w cenie paliw kopalnych m.in. węgla, gazu, oleju opałowego, paliw silnikowych. Koszt zakupu paliw wzrośnie nie tylko o wysokość opłaty emisyjnej, ale także wysokość podatku VAT naliczanego od tej opłaty".

Ubożsi aż o tyle

ETS2 uderzy właściwie w każdego.

Wspomniani analitycy wyliczyli, że przeciętna polska rodzina ogrzewająca dom piecem gazowym zapłaci w latach 2027–2035 o ponad 2600 złotych więcej rocznie, licząc według obecnych cen surowca. Gdy ogrzewa dom węglem, zapłaci o ponad 4300 złotych więcej rocznie. „Aby pokryć dodatkowe koszty związane z ETS2, przeciętna polska rodzina w 2027 roku w przypadku ogrzewania gazem będzie musiała wydać równowartość 45% (w 2030 r. – 82%) miesięcznego minimalnego wynagrodzenia, a w przypadku ogrzewania węglem 73% (w 2030 r. – 134%)" – pisali Buk i Izdebski.

Mowa o średnim zużyciu. W przypadku domów i mieszkań o najgorszych warunkach termoizolacji, a więc największym zużyciu środków grzewczych – te kwoty będą znacznie wyższe. Najbiedniejsi, czyli mieszkający w najgorszych warunkach, zapłacą najwięcej.

Podobnie w przypadku podgrzewania wody, przygotowania posiłków itp. w oparciu o gaz i węgiel. Nie tylko w domach, także np. w gastronomii, hotelarstwie itp.

To nie koniec. Już w pierwszym roku obowiązywania ETS2 cena litra benzyny, diesla i LPG wzrośnie o 20–35 groszy. W roku 2030 będzie to już 40–60 groszy więcej na litrze. Za dziesięć lat dodatkowe opodatkowanie litra paliwa to złotówka-półtora, licząc według obecnych cen. Mowa nie tylko o transporcie indywidualnym. Podrożeją także przewozy autobusowe, dostawy surowców, produktów itp.

Razem wzięte będą wielkim uderzeniem w portfele Polaków. To grube tysiące kosztów rocznie. Niemal dla wszystkich z nas w wielu sferach życia. Nie będzie się dało uciec przed szybkim wzrostem cen.

Co na to rząd?

Rząd liberałów gładko przeszedł od przemilczania problemu lub wyśmiewania „teorii spiskowych" do planowania działań. A raczej: pseudodziałań.

Unia Europejska przyjęła założenie, że Polska otrzyma około 50 miliardów złotych ze Społecznego Funduszu Klimatycznego w latach 2026–2032. Z tego tylko 37,5% może być przeznaczone na bezpośrednie rekompensaty dla ofiar wzrostu kosztów życia.

Projekt wsparcia przygotowało Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Właśnie został ogłoszony. Wsparcie będzie miało postać bonów energetycznych. Na ten cel, zgodnie z unijnymi wytycznymi, trafi niespełna 20 miliardów złotych. Na okres siedmiu lat. Po kilka miliardów rocznie. Dla porównania: coroczne wydatki na program 800+, skierowany tylko do rodzin z nieletnimi dziećmi, to około 70 miliardów złotych.

W dodatku wsparcie obejmie jedynie ogrzewanie domów i zużycie węgla i gazu na inne potrzeby bytowe. Nie ma mowy o rekompensacie kosztów w wielu dziedzinach życia, choćby wykorzystania prądu czy dojazdów do pracy.

Można usłyszeć opinie, że wsparcie, które Polska otrzyma z funduszy unijnych na rekompensowanie skutków wprowadzenia ETS2, czyni z nas największego beneficjenta takich środków. Mamy dostać około 18% ogółu unijnych środków na ten cel. „Zapomina" się jednak o fakcie, który opisali Buk i Izdebski: „Polska jest jednym z krajów, którego obywatele najdotkliwiej odczują uruchomienie ETS2. Ze względów

PRZECIĘTNA POLSKA RODZINA OGRZEWAJĄCA DOM PIECEM GAZOWYM ZAPŁACI W LATACH 2027–2035 O PONAD 2600 ZŁOTYCH WIĘCEJ ROCZNIE, LICZĄC WEDŁUG OBECNYCH CEN SUROWCA.

eprasa.pl e740969244

klimatycznych należymy do grona państw z zapotrzebowaniem na ciepło przekraczającym średnią unijną. Mamy też najwyższe w Europie wykorzystanie węgla, będącego najbardziej emisyjnym paliwem, do ogrzewania budynków mieszkalnych".

Bez wsparcia

Według założeń rządowego programu wsparcie w postaci bonów energetycznych ma trafić tylko do wybranych grup. Po pierwsze do osób starszych – powyżej granicy wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn. Po drugie do niezamożnych – z dochodami do 2500 zł miesięcznie w gospodarstwie jednoosobowym i 1700 zł na osobę w gospodarstwie wieloosobowym. Po trzecie: ogrzewających wyłącznie indywidualne domy.

Zarabiasz ciut ponad przyjęte kryteria ubóstwa? Masz kosztowne w ogrzewaniu mieszkanie zamiast domu? Zapomnij o wsparciu. Rekompensaty trafią tylko do około 25% osób, które zarówno potrzebują wsparcia, jak i ich koszty ogrzewania lokali mieszkalnych znacznie wzrosną wskutek ETS2. Bartłomiej Orzeł, były pełnomocnik rządu ds. programu „Czyste powietrze", skomentował to dla „Dziennika Gazety Prawnej": „To nie jest program skierowany do ubogich, ale do wybranej grupy ubogich".

Zaledwie co około ósmy Polak otrzyma jakiekolwiek wsparcie w ciągu tych kilku lat. Obejmie ono tylko jeden z kilku aspektów znacznego wzrostu kosztów życia. Będzie niewielkie. A cała reszta nie dostanie ani grosza. Wsparcia nie otrzyma wiele osób ubogich. Ani takich, które nieco „wystają" ponad próg ubóstwa. Ani nikt ze „średniaków".

Ledwo co zaczęliśmy żyć lepiej, dzięki koniunkturze gospodarczej, spadkowi bezrobocia i pisowskim programom socjalnym – a już wracamy do dawnego biedowania. Do oszczędzania na wszystkim i do walki o przetrwanie.

> ŁATWO STWORZYĆ WRAŻENIE, ŻE EKOLOGIA JEST ROBIONA NIEMAL DOSŁOWNIE PO TRUPACH. ŻE TROSCE O PLANETĘ TOWARZYSZY BRAK TROSKI O LUDZI.

Jak zrazić do ekologii

Marcin Izdebski, współautor raportu o skutkach wprowadzenia ETS2, mówił w jednym z wywiadów: „W efekcie niektórych grup społecznych nie będzie stać na ogrzewanie lokali, co jest ewidentnym błędem tej polityki. Ona w ogóle nie patrzy na koszty społeczne. [...] W drugiej połowie lat 30. roczne koszty dla niektórych rodzin mogą przekroczyć 20–30 tys. zł w dzisiejszej wartości pieniądza, więc uzupełnionej o przyszłą inflację. To są oczywiście kwoty niemożliwe do poniesienia nawet przez zamożniejszą część społeczeństwa. Ta zresztą będzie mogła łatwiej zainwestować w wymianę źródeł ciepła".

Czy takie realia przekonają kogokolwiek do ekologii? Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie – ekologia robiona za pomocą zubażania szerokich rzesz społeczeństwa to najlepszy sposób, aby zrazić miliony ludzi do ochrony środowiska.

Nie da się przekonać do szczytnych ideałów kogoś biednego, głodnego i zmarzniętego. Łatwo go natomiast do nich na trwałe zniechęcić.

Łatwo stworzyć wrażenie, że taka ekologia jest robiona niemal dosłownie po trupach. Że trosce o planetę towarzyszy brak troski o ludzi. Że czekają nas kolejne – które to już? – lata „zaciskania pasa" w imię świetlanej przyszłości.

Gdzieś tam, na odległym horyzoncie, za wiele lat podobno są elektryczne auta, ocieplone domy, zainstalowane źródła taniej czystej energii itp. Nie dla nielicznych, lecz dla wszystkich. Ale ludzie mają tylko jedno życie. Dzisiejsi 40–60-latkowie już się naczekali na lepsze czasy. Gdy one nadeszły, szybko się kończą.

Poradzi sobie wąska zamożna grupa. Cała reszta straci, będzie żyła na krawędzi ubóstwa, licząc każdy grosz, w niedogrzanych lokalach itp. Dla nich „transformacja energetyczna" to po prostu kolejne wydanie neoliberalnej terapii szokowej.

Nie jest to teoria spiskowa, prawicowa czy skrajnie prawicowa. To opis nadchodzących realiów i zwykłego sposobu działania bezwzględnych antyspołecznych liberałów.

eprasa.pl e740969244

Piotr Skwieciński

Nie-Polacy i nieludzie

Nie wymienię nazwiska, bo nie mam do tego upoważnienia. Ale jeden z naprawdę znanych prawicowych dziennikarzy stał się ostatnio niechcianym bohaterem przykrej przygody. Otóż bawił w modnej warszawskiej knajpie i nagle został obiektem agresji innego tegoż przedsiębiorstwa klienta. Skądinąd bliskiego kolegi obecnej minister kultury i jej ścisłego kręgu zaufanych, twórcy modnych wystaw w duchu progresywizmu, inkluzywności i ogólnie tolerancji.

Ów bojownik o tolerancję zwyzywał dziennikarza (jednego z kilku najbardziej od zawsze zaangażowanych w pomoc dla Ukrainy i niejednokrotnie od 2014 roku narażającego w tej sprawie własne życie w sposób jak najbardziej dosłowny) od „putinowskich psów", których „nie powinno się obsługiwać". Po otrzymaniu od dziennikarza propozycji wyjaśnienia tej sprawy na zewnątrz, na osobności, wyrwał (pewnie dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji) ze ściany kontakt od lampy i uciekł.

I jest to przykład nieodosobniony. W ciągu ostatnich dwóch lat podobne – czasem ostrzejszego kalibru – incydenty działy się w warszawskim zagłębiu knajpianym kilkakrotnie. Sam zresztą niegdyś byłem ze dwa, trzy razy przedmiotem słownej agresji ze strony osób mi nieznanych na ulicy. Nie, nie chodzi mi o moją martyrologię, odpyskować umiem. A zresztą jak napisał Jerzy Urban, uzasadniając czystki dziennikarzy w stanie wojennym: „każdy powinien umieć zapłacić cenę za swe przekonania", i rozumiem, że niektórym te słowa zapadły głęboko w pamięć. Chodzi mi o dziwną okoliczność polegającą na tym, że mimo iż negatywne emocje rozpalone są po obu stronach barykady, to w takich incydentach stroną agresywną zawsze byli, pijani albo trzeźwi, libleftowcy. Agresji w drugą stronę, o dziwo, historia zanotowała zero przypadków.

Może to zresztą nic dziwnego. Za teoretyczno-ideologicznego patrona takich akcji można bowiem uznać pewien autorytet, czyli głośnego niegdyś publicystę „Gazety Wyborczej" Wojciecha Orlińskiego, który to w epicentrum akcji zaszczuwania modlących się pod krzyżem smoleńskim w 2010 r. raczył był opublikować tekst, w którym napisał, że Warszawa to jest ich (libleftu) miasto i ich ulice. Katole niech więc ten fakt uznają i z tych ulic znikną, a w każdym razie niech nie zakłócają bawiącym się wieczorami libleftowym koryfeuszom krajobrazu.

Można by w tym miejscu zakończyć pocieszającym stwierdzeniem, że u nas i tak nie jest tak źle. Bo na przykład w USA za pierwszego Donalda Trumpa odnotowano incydent polegający na tym, że pani będącej członkiem administracji w pewnej waszyngtońskiej knajpie nie tylko właściciel odmówił obsługi (u nas jednak nie odmawiają), ale gdy opuściła jego restaurację, poszedł za nią, a kiedy weszła do innego lokalu, to też wszedł i wezwał tamtejszego menedżera, by również odmówił jej obsługi (u nas jednak nie chodzą i nie wzywają).

Tylko że to – niestety – nie wyczerpuje zagadnienia.

Bo przecież i po prawicowej stronie konfliktu pełno jest takich, którzy uważają, że Polska jest z natury nasza, a druga strona to de facto wynarodowieni „Polacy etniczni" albo zgoła po prostu nie-Polacy. Postawa to i głupia, i naganna.

Tylko że jest tak, iż radykalna prawica odmawia swoim przeciwnikom prawa do nazywania się Polakami, a radykalny (i dyktujący ton) libleft odmawia swoim przeciwnikom czegoś znacznie bardziej zasadniczego. Mianowicie prawa do nazywania się ludźmi.

I to wyjaśnia, dlaczego w knajpianych incydentach nieodmiennie to libleft, a nie prawicowcy są stroną agresywną. Bo przecież nie-Polacy mogą sobie chodzić do restauracji, dyskryminacja narodowa w tej mierze to jednak ekstremum historii, wszyscy to czują. Czy mogą natomiast chodzić do knajp na równi z ludźmi – nieludzie?

To przecież, proszę Państwa, znacznie bardziej dyskusyjne.

eprasa.pl e740969244

Zielony Ład już nie taki dobry

Leśnictwo i przemysł drzewny jak w soczewce pokazują, do czego prowadzi **radosna twórczość ideologów zielonej religii**. Zielony Ład już doprowadził do likwidacji w Polsce tysięcy miejsc pracy. Na szczęście las się budzi.

Jakub Pacan

eprasa.pl e740969244

Zdrowy rozsądek przegrywa często z ideologią. Na dłuższą metę trudno jednak wygrać ideologii, nawet gdy ma zapędy do bycia religią, jak zielona transformacja, z biologią. Tak zaczyna być z tzw. Zielonym Ładem, czyli pakietem przepisów i ustaw, które mają wywrócić cały dotychczasowy porządek nie tylko ekonomiczny w Europie, ale także społeczny i polityczny poprzez coraz trudniejsze zaspokajanie podstawowych potrzeb biologicznych Europejczyków.

Fot. T. Gutry

Zielona bieda

– Skutkiem Zielonego Ładu będzie nowa koncepcja aksjologiczna, która dokona się poprzez deformowanie i dekonstrukcję duchowego, intelektualnego, logicznego i psychicznego dziedzictwa wyrosłego z wartości chrześcijańskich. W UE od dawna przygotowywany jest grunt pod pozbawienie ludzi logicznego i krytycznego myślenia po to, by bez zastanowienia godzili się na absurdy związane m.in. z Zielonym Ładem. Nie ma propozycji ani modelu w Unii realizacji transformacji energetycznej, której celem byłaby redukcja ceny energii według normalnego modelu biznesowego – mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" ekonomista prof. Zbigniew Krysiak w ubiegłym roku. Skutkiem braku samofinansowania się tego przedsięwzięcia będzie, według naukowca, pojawienie się różnych poręczycieli, u których będą zadłużały się kolejne sektory gospodarki, aż dojdzie do tego, że w końcu wszystko, włącznie z gospodarstwami domowymi, zacznie bankrutować.

Ale może właśnie dlatego, że ta mroczna wizja sięga podstawowych egzystencjalnych potrzeb, pojawia się świadomość nadchodzącego wielkiego buntu i niezgody. Politycy i podległe im służby jak zwykle wiedzą o takich rzeczach pierwsi i choć Zielony Ład nie doprowadził jeszcze do powszechnej biedy, to jego szkodliwość na tyle daje się już we znaki, że ludzie pokroju Ursuli von der Leyen czy nawet Donalda Tuska zaczynają pobrzękiwać, że coś trzeba tu będzie łagodzić, bo inaczej nie ma żadnej mowy o konkurencyjnej czy bezpiecznej Europie. Dział do czołgów nie da się robić z przetworzonych plastikowych butelek. W Badenii-Wirtembergii policja nie była w stanie radiowozami elektrycznymi ścigać przestępców z powodu rozładowanych baterii.

I właśnie szeroko rozumiane bezpieczeństwo to jedna z podstawowych potrzeb człowieka, ba – jego pierwsza potrzeba. Dlatego zapewne polski premier Donald Tusk, polityk EPL, w rzadkim jak na niego przypływie szczerości, szczególnie wobec europejskich planów Niemiec, wezwał do „przeglądu wszystkich aktów prawnych, w tym tych w ramach Zielonego Ładu" [...] atakując w szczególności opłatę węglową od paliw kopalnych [...] która wejdzie w życie w 2027 r. Wypowiedzi Tuska zostały przyjęte z zadowoleniem przez konserwatywnego premiera Czech Petra Fialę" – podaje Politico.

Upiorny ETS2 Tuska

Tusk przyznał nawet w Parlamencie Europejskim, gdy Polska przejmowała prezydencję: – Konsekwencje zbyt szybkiego wprowadzenia regulacji ETS2 będą upiorne. Ceny energii mogą zmieść niejeden demokratyczny rząd w Unii Europejskiej.

Z drugiej strony sam Tusk i jego rząd doprowadzili do sytuacji bez precedensu w stuletniej historii Lasów Państwowych, gdy wskutek nieodpowiedzialnej polityki klimatycznej w marcu tego roku wyszło na jaw, że LP mają wygenerować pierwszy raz 700 mln zł straty.

To właśnie leśnictwo i przemysł drzewny jak w soczewce pokazują, do czego prowadzi radosna twórczość ideologów zielonej religii. Zielony Ład doprowadził do wyłączenia w Polsce około 17% lasów z działalności gospodarczej. Do tego dochodzą tzw. lasy społeczne, które mają nie być użytkowane gospodarczo w takim stopniu jak lasy gospodarcze. Według ekspertów z leśnej Solidarności nawet 1/3 lasów państwowych może być wyłączona z użytkowania.

eprasa.pl e740969244

– Ma to swoje konsekwencje już obecnie, gdyż upadają małe firmy przetwórstwa drzewnego, zakłady usług leśnych, a i Lasy Państwowe przewidują w tym roku stratę ponad 700 mln zł. To pierwszy raz w stuletniej historii LP – mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" przewodniczący Rady Sekretariatu Zasobów Naturalnych i Ochrony Środowiska NSZZ „S" Zbigniew Kuszlewicz.

Jednak okazuje się, że w obliczu gigantycznej dziury budżetowej i rosnącego bezrobocia rząd zmienia filozofię ws. branży drzewnej. Krzysztof Paszyk z PSL, minister rozwoju i technologii, ogłosił w marcu tego roku podczas I Kongresu Przemysłu Drzewnego inicjatywę legislacyjną, której celem jest uznanie drewna za surowiec strategiczny dla polskiej gospodarki. – Drewno to już nie tylko surowiec, to strategiczny zasób. Europa i świat zaczynają traktować je na równi z ropą, gazem czy metalami ziem rzadkich. Polska, mająca jedne z największych zasobów leśnych w Europie, nie może ograniczać się do roli dostawcy surowca dla zagranicznych fabryk – przekonywał.

Z jednej strony ekspertami obecnego rządu ws. leśnych są ekolodzy koczujący w lasach w celu ich chronienia, z drugiej twarde dane podawane również przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii wskazujące, że branża leśniczo-drzewna zatrudnia ponad 136 tys. osób i odpowiada za istotną część naszego PKB. Polska należy do liderów w Unii Europejskiej w eksporcie mebli, z udziałem wynoszącym 19 proc. Wraz z rodzinami sektor daje utrzymanie kilkuset tysiącom Polaków.

Drewno jest ekologiczne

– Drewno to uniwersalny surowiec o wielu zastosowaniach i możliwościach wykorzystania, a jednocześnie w pełni odnawialny. Ograniczenie dostępu gospodarki do drewna dla społeczeństwa do produktów z tego surowca doprowadzić musi do pojawienia się w to miejsce substytutów, którymi będą metale i tworzywa sztuczne, a w sektorze budowlanym – beton. Oznacza to, że miejsce surowca kumulującego w sobie węgiel w ilości ok. 490 kg węgla na 1 tonę zajmą produkty o poważnym śladzie węglowym, jak np. beton, stal i plastik. Ponadto należy pamiętać, że cykl życia produktów z drewna wynosi zwykle od kilkunastu do kilkudziesięciu lat i w tym czasie węgiel pozostaje w nich uwięziony, a równocześnie w miejscu drzew, z których to drewno pochodzi, rośnie nowy las, wiążąc kolejne tony CO_2. Należy więc z naciskiem podkreślić, iż intensyfikacja wykorzystania drewna i zastępowania nim innych materiałów ma zdecydowanie proekologiczny charakter, a ograniczenie tych możliwości jest działaniem szkodzącym klimatowi i przyrodzie – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" Jacek Cichocki, przewodniczący Krajowej Sekcji Pracowników Leśnictwa NSZZ „Solidarność".

Do tego dochodzi jeszcze jeden aspekt, już dziś wiadomo, że w naszym klimacie nie ogrzeje się milionów gospodarstw domowych i osiedli mieszkalnych odnawialnymi źródłami energii. Wprowadzana z żelazną konsekwencją przez UE dekarbonizacja stawia pod znakiem zapytania pozyskiwanie materiału na opał. Naukowcy zajmujący się branżą leśną mówią, że popyt na drewno opałowe będzie rósł i nie można go odmawiać społeczeństwu. Wprawdzie Komisja Europejska w dokumencie pod nazwą „Kompas konkurencyjności" stwierdza: „Przejście na gospodarkę zdekarbonizowaną musi być przyjazne dla konkurencyjności i neutralne technologicznie", jednak w praktyce wygląda to tak jak w Niemczech, gdzie są czasowe wyłączenia w dostawach energii elektrycznej.

DREWNO TO JUŻ NIE TYLKO SUROWIEC, TO STRATEGICZNY ZASÓB. EUROPA I ŚWIAT ZACZYNAJĄ TRAKTOWAĆ JE NA RÓWNI Z ROPĄ, GAZEM CZY METALAMI ZIEM RZADKICH.

– Niestety pod obecnym kierownictwem Ministerstwa Klimatu i Środowiska, przez nieprzemyślane decyzje wyłączające coraz większe obszary lasów państwowych z użytkowania, organizacja Lasy Państwowe może nie podołać w przyszłości oczekiwaniom przemysłu w dostarczaniu odpowiedniej ilości i jakości drewna określanego mianem „surowca przyszłości". Rząd serwuje dziś nam prawdziwy „rollercoaster" pomysłów i decyzji. Z jednej strony wprowadza się zupełne ograniczenia w użytkowaniu zasobów leśnych oraz tworzy rezerwaty w szaleńczym pędzie okraszonym ideologią, wbrew nauce, a z drugiej strony padają szumne zapowiedzi prawnego usankcjonowania drewna jako surowca strategicznego. Jak będzie? Zobaczymy. Miejmy nadzieję, że Zielony Ład odejdzie szybko w zapomnienie – mówi szef leśnej Solidarności Jacek Cichocki.

eprasa.pl e740969244

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Niemiecki głaz

Po wielu latach sporów, przeciągania liny, uników i milczenia w Berlinie stanął „tymczasowy" pomnik upamiętniający polskie ofiary niemieckiej okupacji podczas II wojny światowej. Problem w tym, że całość sprawia raczej wrażenie nieśmiesznego żartu albo wręcz splunięcia nam wszystkim w twarz.

Temat upamiętnienia w Niemczech polskich ofiar II wojny światowej nie jest nowy i powraca regularnie w debacie publicznej. Wydawać by się mogło, że jest to rzecz zupełnie oczywista, a już zwłaszcza po tym, gdy w Berlinie stanęły monumenty upamiętniające inne ofiary np. poświęcony pamięci prześladowanych homoseksualistów (2008 rok) czy Sinti i Romów (2012 rok). Tyle że to, co dla nas było oczywistością, dla Niemców już niekoniecznie. Nasi zachodni sąsiedzi przez lata robili wiele, by maksymalnie spowolnić, a najlepiej w ogóle utrącić realizację tego pomysłu. W efekcie mijały lata, temat szedł jak po grudzie, a Polacy już dawno stracili do niego serce.

Trzeba też jasno i wyraźnie napisać, że żaden pomnik, nawet najbardziej godny i monumentalny, nie zastąpi realnego zadośćuczynienia w postaci wypłaconych Polsce reparacji. Niemcy bowiem od dekad unikają tego tematu jak ognia, a nawet jest on przedmiotem politycznego konsensusu. Niezależnie od tego, czy rządzą socjaldemokraci, czy chadecy, to uznają oni, że temat reparacji jest zamknięty. Otóż nie, nie jest. A już na pewno nie dlatego, że tak uważa jedna strona, która w dodatku była agresorem. Być może gdyby po polskiej stronie wystąpiła podobna solidarność, to bylibyśmy w zupełnie innym miejscu. Gdyby...

Niemcy nigdy nie dążyli do prawdziwego pojednania polsko-niemieckiego. Pojednania opartego na uznaniu win, rachunku krzywd i prawdziwego zadośćuczynienia. Jedyne, na co przez lata się zdobywali, to puste i nic nieznaczące gesty polityczne, które sprawiały, że lepiej się czuli i mogli dalej moralizować.

Czy powinno się jednak dziwić Niemcom? Nie powinno. Z punktu widzenia swojego interesu politycznego, robili i robią to, co uznają za najlepsze. Powinno się, a nawet trzeba, napiętnować tę część polskich elit, która niemal automatycznie odrzucała temat reparacji i realnego zadośćuczynienia, jakby sama myśl, iż można się czegoś domagać od Niemców, była paraliżująca. Proszę sobie zresztą przypomnieć reakcje, które pojawiły się tuż po opublikowaniu raportu przez Instytut Strat Wojennych dot. szkód, które poniosła Polska. Politycy ówczesnej opozycji, dziennikarze i celebryci na wyścigi podnosili argumenty korzystne dla... Niemców.

16 czerwca w Berlinie odsłonięto 30-tonowy „pomnik". Warto dodać, że była to de facto oddolna inicjatywa, która w założeniu miała zawstydzić rząd niemiecki. Chyba nie wyszło, bo ten wziął go pod swoje skrzydła, a my dalej nawet nie wiemy, jak miałby wyglądać „docelowy" monument. Niestety, „pomnik" trudno ocenić inaczej niż kolejny policzek wymierzony Polakom. Tym bardziej bolesny jest fakt, że na jego otwarciu pojawiła się polska minister kultury. W trampkach. I niech to będzie najlepszy komentarz do tego wydarzenia.

eprasa.pl e740969244

Zielony Ład. Śmierć prawdziwa czy pozorowana?

„Już nie ma Europejskiego Zielonego Ładu, dlatego że w tej chwili zmienił się świat, jeżeli chodzi o kwestie dotyczące załamania łańcucha dostaw i tego, że musimy inwestować w nasz przemysł i w naszą konkurencyjność" – mówił w telewizyjnej debacie 12 maja Rafał Trzaskowski. Lecz choć prezydent Warszawy bardzo się starał, nawet na ogół łaskawy dla władzy portal Demagog uznał jego wypowiedź za fałsz. Zielony Ład był często poruszanym w kampanii wyborczej tematem. Oficjalnie nikt nie chciał go w surowej europejskiej wersji. Lecz czy znaczy to, że przestał nam zagrażać? **Wręcz przeciwnie**.

Krzysztof Karnkowski

Proj. **A.Ch.**

eprasa.pl e740969244

Przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, które odbywały się w zeszłym roku, można było mieć złudzenia. Przez Europę przetoczyła się niedawno potężna fala rolniczych protestów. Choć w Polsce koalicja PO – PSL miała dla protestujących rolników jedynie gaz i pałki, w sąsiednich Niemczech przedstawiciele CDU, partii z tej samej rodziny politycznej, wręcz lansowali się na chłopskich pikietach. Był to specyficzny dla europejskiej polityki moment. Nie dość, że politycy bezobjawowej eurochadecji walczyli o głosy, to dodatkowo nie byli wcale pewni, z kim zawrą koalicję w przyszłej kadencji. Sondaże wskazywały bowiem, że europejski mainstream będzie musiał wejść w jakiś rodzaj układu z co najmniej jedną z konserwatywno-tożsamościowych frakcji. A te Zielonemu Ładowi były zdecydowanie przeciwne.

Zabójczy ETS2

Gdy jednak przyznano już mandaty, okazało się, że jak zwykle „chadekom" łatwiej dogadać się z zielonymi. A ci, choć bardzo słabi, postanowili popchnąć UE jeszcze mocniej w stronę zielonego szaleństwa. Strona Komisji Europejskiej wciąż wyznacza te same cele: „Pierwszy kontynent neutralny dla klimatu do 2050 r." i „Co najmniej 55 proc. mniej emisji gazów cieplarnianych netto w 2030 r. w porównaniu z poziomem z 1990 r.". To ostatnie to już słynne „Fit for 55", największe chyba zagrożenie dla polskiej gospodarki i zwykłych obywateli. Jak pisze portal Energetyka24. com: „W ramach pakietu Fit for 55 z 14 lipca 2021 r. Komisja Europejska wyznaczyła ambitne cele, w tym redukcję emisji gazów cieplarnianych o 55% do 2030 r. Kluczowym krokiem jest wprowadzenie systemu handlu emisjami EU ETS2, obejmującego budynki, transport drogowy oraz inne sektory". W wielkim skrócie znaczy to tyle, że potężne opłaty, które już dziś ponosimy w kosztach energii elektrycznej, za chwilę dopadną nas w wielu innych dziedzinach życia, w rachunkach za ogrzewanie domów, w cenach paliwa czy kosztach podróży. Według wyliczeń przedstawionych przez portal Forsal. pl, dla rodziny używającej do gotowania i ogrzewania węgla koszty wzrosną o 17 347 zł do 2055 r., a dla ogrzewającej się gazem – o 28 330 zł do 2055 r. W międzyczasie wszystkie budynki ogrzewane gazem spadną do najniższej klasy energetycznej, co oznacza, że nie będzie można ich sprzedać ani wynająć. Choć informacje na ten temat nie są wcale całkowicie przemilczane przez media, nie budzą na razie żywiołowej reakcji społecznej. Być może dlatego, że są tak absurdalne i tak trudne do wyobrażenia, że większość przyszłych ofiar tego szaleństwa zwyczajnie nie przyjmuje tego do wiadomości.

dofinansowanie również na wymianę starszych typów ogrzewania na kotły gazowe. Sytuację zmienił dopiero wybuch wojny na Ukrainie. Gdy spadły na nią pierwsze bomby, a Niemcy musieli rezygnować ze swoich wspaniałych biznesów z kremlowskim katem, gaz stał się nagle dużo mniej ekologiczny niż kilka lat wcześniej. Ratunkiem mógłby też być polski atom, jednak i w tej dziedzinie ekipa Donalda Tuska jedynie markuje działania, dodając kolejne lata opóźnienia, które tak naprawdę liczy się od wstrzymania budowy Żarnowca pod koniec lat 80. Choć rząd wciąż podkreśla konieczność budowy polskiej elektrowni, realna strona zagadnienia sprowadza się do słów. I do zamknięcia jedynego polskiego reaktora „Maria", w wyniku tak absurdalnych błędów urzędniczych, że trzeba bardzo wiele dobrej woli, by nie widzieć w tym sabotażu. Wygląda więc na to, że

KAROL NAWROCKI PRZEKŁADAŁ NA NASZE TRUMPOWSKIE: „DRILL, BABY, DRILL", MÓWIĄC: „POLSKI WĘGIEL TRZEBA FEDROWAĆ, WYDOBYWAĆ I ROZWIJAĆ RZECZPOSPOLITĄ.

Rząd ignoruje problem

Ratunkiem mógł być rządowy program „Czyste Powietrze", ale jego obecne działanie to typowy przykład chaosu, który opanował państwo pod rządami Koalicji 13 grudnia. Zresztą problemem jest tu też brak zaufania obywateli do unijnych dyrektyw. Przecież jeszcze kilka lat temu gaz uznawany był za ekologiczny, a z państwowych czy unijnych funduszy można było uzyskać ratunku nie ma – a raczej nie ma woli rządzących, by nas ratować. W dostępnej od roku analizie Wandy Buk i Marcina Zwolińskiego „Analiza wpływu ETS2 na koszty życia Polaków", z której pochodzą przytoczone powyżej szacunki, czytamy: „Ze względów klimatycznych należymy do grona państw z zapotrzebowaniem na ciepło przekraczającym średnią unijną. Mamy też najwyższe w Europie wykorzystanie węgla,

eprasa.pl e740969244

będącego najbardziej emisyjnym paliwem, do ogrzewania budynków mieszkalnych".

„Nieład" w kampanii

Najwyższe koszty będą ponosili mieszkańcy najstarszych, nieocieplonych budynków jednorodzinnych. Może więc jednak nie powinniśmy tak spieszyć się z tym węglem? Jego przeciwnicy podkreślają, że wydobycie czarnego złota lub jego brunatnego odpowiednika jest kosztowne i nieopłacalne. Może jednak warto zapytać, czy przypadkiem komuś nie zależy na tym, by właśnie tak było? Przecież, dziwnym trafem, naszym sąsiadom to wciąż się opłaca. Nawet u nas. W kampanii węgiel przewijał się w przekazie większości polityków, jednak przekaz był oczywiście niejednolity. Karol Nawrocki przekładał na nasze Trumpowskie: „Drill, baby, drill", mówiąc: „Polski węgiel trzeba fedrować, wydobywać i rozwijać Rzeczpospolitą Polską", i postulował szerokie użycie węgla do czasu wybudowania mocnej infrastruktury jądrowej. Wydaje się to najbardziej rozsądnym podejściem do tematu, wymaga jednak współdziałania rządu i woli budowy elektrowni. Możemy spodziewać się, że z jednym i drugim będzie krucho. Przypomnijmy przy okazji, że Nawrocki zapowiadał również obniżenie rachunków za energię poprzez zmiany w ETS, a także współpracę państw przeciwnych Zielonemu Ładowi. Przeciwko Zielonemu Ładowi z podobnych pozycji wypowiadali się Grzegorz Braun, Marek Jakubiak, Sławomir Mentzen, choć z ich wypowiedzi można wychwycić też inne akcenty. Braun w typowy dla siebie sposób skupiał się na aspekcie ideologicznym, Jakubiak dostrzegał w nim narzędzie dominacji Niemiec, a Mentzen zwracał uwagę na bezsens przedsięwzięcia, w którym nie biorą udziału inne kontynenty, co obniża konkurencyjność gospodarki europejskiej. Ale i druga strona na czas wyborów przyjęła bardziej zachowawcze niż na co dzień stanowisko. Rafał Trzaskowski zapomniał na moment, że był określany „ambasadorem Zielonego Ładu" i poza wspominaną już negacją mówił o zmniejszaniu kosztów czy wydłużeniu okresu odchodzenia od węgla. Szymon Hołownia i Magdalena Biejat nie krytykowali unijnych propozycji, stawiali natomiast postulat zdjęcia kosztów tej operacji z obywateli. Biejat twierdziła, ze odejście od węgla jest nieuchronne, zarzucając kłamstwo zwolennikom tezy przeciwnej. Adrian Zandberg (a z drugiej strony Artur Bartoszewicz) skupiał się na energii atomowej.

Czasy się (nie) zmieniły

Zapewne jeszcze pamiętają Państwo, jak przed pierwszą turą wyborów Rafał Trzaskowski pozycjonował się trochę niespodziewanie jako kandydat wyważony, odwołujący się do tradycji i patriotyzmu, zwłaszcza w gospodarce. W miejscach, które odwiedzał, w tajemniczy sposób znikały nawet tęczowe flagi, jeśli akurat były obecne wcześniej w przestrzeni miejskiej. Ale już dwa tygodnie od swej przegranej Trzaskowski poszedł znów w Warszawie z Paradą Równości, tym razem szokującą konserwatystów już nie tylko ekscentrycznymi i wyzywającymi strojami przedstawicieli społeczności LGBT, a udziałem (zresztą chyba nie pierwszy raz...) satanistów idących w tym samym pochodzie ze swoimi transparentami. Dlaczego o tym piszę? Ponieważ tak samo szybko może zmienić się stanowisko w każdej sprawie, zwłaszcza gdy zmiana jest tylko powrotem na stare tory. „Czasy się zmieniły" – słyszeliśmy w kampanii wiele razy. Europa miała stawiać na konkurencyjność i rezygnować z ekoszaleństwa (lub, dla rządzących, w ich nowej narracji, ekonadgorliwości) niszczącego jej gospodarkę. Jednak rzeczywistość temu przeczy. Oto jeszcze w trakcie kampanii wyborczej Polska podpisała z Francją traktat oficjalnie dotyczący gwarancji bezpieczeństwa. Kto się w niego wczytał, ze zdziwieniem mógł odkryć, że dokument ten zawiera zobowiązania do „przyczynienia się do osiągnięcia europejskich celów klimatycznych, w tym celu na 2030 rok i neutralności klimatycznej UE do 2050 roku, w sposób zapewniający i zwiększający konkurencyjność europejskiego przemysłu przy jednoczesnym osiągnięciu transformacji społecznej i przemysłowej". „Strony dążą do przeprowadzenia

RATUNKIEM MÓGŁBY BYĆ POLSKI ATOM, JEDNAK I W TEJ DZIEDZINIE EKIPA DONALDA TUSKA JEDYNIE MARKUJE DZIAŁANIA, DODAJĄC KOLEJNE LATA OPÓŹNIENIA.

eprasa.pl e740969244

transformacji ekologicznej” i kontynuują „współpracę w zakresie wspierania transformacji ekologicznej miast, regionów i samorządów terytorialnych”. Czyli – nie zmienia się nic.

W TRAKCIE KAMPANII WYBORCZEJ POLSKA PODPISAŁA Z FRANCJĄ TRAKTAT, KTÓRY ZAWIERA ZOBOWIĄZANIA DO „PRZYCZYNIENIA SIĘ DO OSIĄGNIĘCIA EUROPEJSKICH CELÓW KLIMATYCZNYCH”.

Jazda na ścianę

W styczniu 2024 roku wiceminister Urszula Zielińska podczas wystąpienia w Brukseli składała ważne, choć niekonsultowane z Polakami deklaracje. – Przyjechałam tu z wiadomością, że Polska zwiększy wysiłki w walce ze zmianami klimatu. [...] Neutralność klimatyczna do 2050 roku to oczywisty cel, który jako Polska musimy osiągnąć. Musimy wykonać naszą część zadania. Będę przekonywać do tego resztę członków rządu. Myślę, że podążamy w tym kierunku – mówiła wówczas. Co więcej, zaszokowała deklaracją, że „należy przyjąć cel redukcji emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 r.” I gdy kampania już się skończyła, powtórzyła niemal wszystko, co padło z jej ust niecałe półtora roku wcześniej, dodając jednak, że nie robimy wystarczająco szybkich postępów, więc – musimy przyspieszyć. I przyspieszamy. Oto Ministerstwo Klimatu i Środowiska rezygnuje z planów eksploatacji jednego z największych złóż węgla brunatnego w Europie rozciągającego się między Legnicą a Głogowem. Potężne pokłady węgla, kilkanaście lat temu wpisane na listę ochrony kopalin, mają z niej zostać wykreślone. – Brak zabezpieczenia strategicznych złóż jest dużym błędem. Żaden kraj lekką ręką nie pozbywa się takiego bogactwa. Zwłaszcza że w najbliższych latach technologia może się zmienić na tyle, że można by było z tego złoża skorzystać – mówił portalowi Tysol.pl Wojciech Ilnicki, przewodniczący Rady Krajowej Sekcji Górnictwa Węgla Brunatnego NSZZ „Solidarność”. Wygląda jednak na to, że taki kraj – a raczej taki rząd – się znalazł. Wykreślenie złoża oznacza możliwość wkroczenia na zastrzeżony dotąd teren samorządów, a w ślad za nimi zapewne deweloperów, co uniemożliwi korzystanie z naturalnych bogactw nawet przy ewentualnej zmianie w ministerstwie. Tymczasem legnickie pokłady węgla dla elektrowni w Bełchatowie wystarczyłyby na... 500 lat. Obecnie jednak surowce dostępne bez inwestycji zaczynają się kończyć, inwestycje są skreślane z planów lub jedynie pozorowane, w efekcie za chwilę może zabraknąć nam prądu i trzeba będzie ratować się jego importem.

Jedyna szansa

Z jednej strony wygląda na to, że nawet politycy mainstreamu zdają sobie sprawę z problemów, które generuje Zielony Ład i jego poszczególne odnogi. Dla całej Europy jest to dramatyczne uderzenie w konkurencyjność przemysłu, dla wyjątkowej, jeśli chodzi o strukturę energetyczną, i relatywnie chłodnej Polski również potężny cios w finansowe i bytowe podstawy egzystencji obywateli. O ile jednak poszczególne branże (jak niemiecki przemysł motoryzacyjny) czy kraje (jak Węgry czy Włochy) potrafią kwestionować samobójcze pomysły, nasz rząd nie chce i nie potrafi wykazać się asertywnością, stawiając naszą gospodarkę, a za chwilę całe społeczeństwo na ołtarzu swego bycia europejskim prymusem. Nadzieją może być referendum, którego domaga się Solidarność, a które wspiera prezydent elekt Karol Nawrocki. Szansą jest też zmiana układu sił po kolejnych wyborach. Pozostaje jednak pytanie, czy zdążymy uciec spod zielonego topora.

NADZIEJĄ MOŻE BYĆ REFERENDUM, KTÓREGO DOMAGA SIĘ SOLIDARNOŚĆ, A KTÓRE WSPIERA PREZYDENT ELEKT KAROL NAWROCKI.

eprasa.pl e740969244

Nie faszysta, nie liberał, raczej PATOLOGIA

Ujawnione taśmy odsłaniają nieco polityczną rolę Romana Giertycha. Nie tylko w samej Platformie Obywatelskiej, ale przede wszystkim na zapleczu władzy. Z jednej strony jest jakby lobbystą, z drugiej – **pozbawionym politycznego wyczucia amatorem**. Do tego jeszcze pomiatanym.

Mariusz Staniszewski

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl e740969244

Wielu spodziewało się, że ujawnione przez Republikę nagrania będą miały podobny kaliber, jak sprzed jedenastu lat z restauracji „Sowa i Przyjaciele" oraz „Amber Room". Nic jednak dwa razy się nie zdarza, więc wielu komentatorów czuje się zawiedzionych i narzeka na brak krwistych kawałków. Inni sarkają, że to tylko prywatne rozmowy, ale sporo jest także takich, którzy drwią z treści publikowanych rozmów, przekonując, że to kapiszony.

Opinie są najczęściej zależne od politycznych sympatii, więc żadne argumenty ich nie zmienią. Warto jednak przez chwilę zastanowić się nad treścią nagrań, bo odkrywanie politycznej kuchni zawsze jest interesujące. Nawet jeśli zasłona ruszyła się niewiele i możemy przyglądać się zakulisowym grom tylko przez szparkę.

Dwie twarze

Postacią, o której dowiadujemy się najwięcej, jest oczywiście Roman Giertych. Niegdyś minister edukacji i wicepremier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, przywódca Młodzieży Wszechpolskiej, zwolennik mundurków w szkołach, głaskany przez ojca Tadeusza Rydzyka, a przez „Gazetę Wyborczą" nazywany „faszystą", sam mówiący o Platformie Obywatelskiej „ciamciaramcia".

W programie Moniki Olejnik „Kropka nad i" udowadniał, że nie jest wrogiem Tinky Winky, postaci z bajki „Teletubisie", i odcinał się od opinii swojej partyjnej koleżanki, która przekonywała, że program promuje wśród dzieci homoseksualizm. Sam jednak gejów nazywał „wstrętnymi pederastami", a na demonstracjach Młodzieży Wszechpolskiej pojawiały się transparenty „zakaz pedałowania".

Choć sam należał do Opus Dei, a dzieci posłał do bardzo katolickiej szkoły, dziś działa w koalicji razem z będącymi w homoseksualnym związku Robertem Biedroniem i Krzysztofem Śmiszkiem czy z tęczowym Rafałem Trzaskowskim, który w paradzie równości maszerował razem z satanistami, aborcjonistami, osobami przebranymi za psy czy nakładającymi na głowę maskę przedstawiającą rozszarpanego noworodka. Prawicowy radykalizm Giertycha jakby wyparował.

Dziś niechętnie mówi on o swoich poglądach. Nagrania ujawniają jednak jego bardzo bliskie relacje z antyklerykałem Donaldem Tuskiem czy z miliarderem Leszkiem Czarneckim, który tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa został, mając osiemnaście lat, a więc jeszcze w liceum.

Nie ma w tych taśmach ani śladu po człowieku, który był konserwatystą. W jego politycznej działalności nie widać innego celu niż walka z Jarosławem Kaczyńskim oraz załatwianie interesów na zapleczu władzy.

Jakże charakterystyczna jest rozmowa z Leszkiem Czarneckim, podczas której biznesmen – wówczas działający w branży finansowej i deweloperskiej – proponuje Giertychowi wspólną kolację i pobyt w najlepszym hotelu w Wenecji. Wielokrotnie stara się przekonać go do przyjazdu, ale Giertych się waha i zwodzi. Jakby czekał na informację, o co naprawdę chodzi. Czarnecki wreszcie proponuje, by były lider Ligi Polskich Rodzin, a w momencie rozmowy już tylko adwokat, zabrał ze sobą Radosława Sikorskiego wraz z żoną.

Miliarder albo pragnął omówić jakiś biznes, albo przynajmniej ocieplić wzajemne relacje. Giertych zachowywał jednak dystans. Więcej emocji pojawia się dopiero, gdy rozmowa schodzi na politykę ówczesnego rządu PiS. Narzekają, jak bardzo zaszkodzi im podniesienie składki ZUS.

Istotą tego nagrania jest wychodząca na światło dzienne pozycja, którą Giertych zajmuje na zapleczu Platformy Obywatelskiej. Jest czymś w rodzaju łącznika, nieformalnego lobbysty, człowieka, który ma dostęp do ważnych ludzi i może umożliwić z nimi kontakt. Podczas rozmowy adwokat kilka razy podkreśla, że ma umówione spotkanie z Donaldem Tuskiem, jakby chciał udowodnić swoje znaczenie.

JUŻ W 2019 ROKU GIERTYCH NAJWIDOCZNIEJ TAK GŁĘBOKO WRÓSŁ W ŚWIAT PLATFORMY OBYWATELSKIEJ, ŻE ZUPEŁNIE NIE BYŁ W STANIE WYCZUĆ NASTROJÓW SPOŁECZNYCH ORAZ REALNIE OCENIĆ POTENCJAŁU MAŁGORZATY KIDAWY-BŁOŃSKIEJ.

Polityczny amator

Ujawnione nagrania przybliżają nam także – poprzez losy Romana Giertycha – relacje w samej Platformie Obywatelskiej i zadziwiającą wiarę w sukces Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w wyborach prezydenckich w 2020 r. Były lider LPR, który sam siebie uwielbia przedstawiać jako polityka wyjątkowo przenikliwego i przewidującego, wielokrotnie powtarzał, że kandydatka PO będzie w stanie pokonać Andrzeja Dudę, a przez to zmienić sytuację polityczną w Polsce, czyli odebrać PiS-owi władzę. Jednocześnie w sposób bardzo

eprasa.pl e740969244

lekceważący mówi o Rafale Trzaskowskim, który w rzeczywistości o mały włos z Andrzejem Dudą nie wygrał, a Kidawa-Błońska okazała się katastrofalną kandydaturą.

Już w 2019 roku Giertych najwidoczniej tak głęboko wrósł w świat Platformy Obywatelskiej, że zupełnie nie był w stanie wyczuć nastrojów społecznych oraz realnie ocenić potencjału „Małgosi" – jak o niej mówił. Nie rozumiał, że jest ona politykiem słabym, mało wyrazistym, niezbyt inteligentnym i całkowicie pozbawionym błyskotliwości, a przede wszystkim zupełnie nienadającym się na głowę państwa oraz niezdolnym do wytrwania maratonu, którym jest kampania prezydencka. Była gorszą wersją Bronisława Komorowskiego, tyle że w spódnicy. Dla przywódców Platformy, wśród których obracał się Giertych, przymioty te okazały się wystarczające, by wierzyć w jej sukces.

To zresztą w dużej mierze tłumaczy porażkę z tego roku. Ponowne wystawienie Rafała Trzaskowskiego tylko dlatego, że pięć lat wcześniej prawie wygrał, a obecnie także upodobnił się do Komorowskiego, pokazuje możliwości intelektualne liderów PO, w tym Romana Giertycha.

Nie byłoby to nawet aż tak bardzo dziwne, gdyż wielu polityków, obracając się wyłącznie wśród elit, traci kontakt z rzeczywistością i pławi się jedynie w wyobrażeniach o tym, kim są wyborcy, jakie mają marzenia, świadomość i aspiracje. Tu jednak łatwo dostrzec realny cel wystawiania formatu Kidawy-Błońskiej czy Trzaskowskiego. Oni nie mają mieć cech przywódczych, gdyż szef może być tylko jeden, co na taśmach mecenas wiele razy podkreśla. Chodzi oczywiście o Donalda Tuska. Miarą użyteczności polityka jest lojalność właśnie wobec obecnego premiera.

A właściwie chodzi nawet o coś więcej – o oddanie. Tylko taki kandydat może być zaakceptowany. Giertych to rozumie i na każdym kroku podkreśla swoją podległość. Dzięki temu może odnieść sukces, czyli robić intratne interesy na zapleczu polityki, a później otrzymać dobre miejsce na liście w ostatnich wyborach parlamentarnych i ostatecznie uzyskać mandat posła.

Lepsza Platforma

W wątkach czysto politycznych widzimy też Giertycha skarżącego się na Grzegorza Schetynę, który w 2019 r. pełnił funkcję przewodniczącego PO. Adwokat żali się Tuskowi i jego najbliższemu współpracownikowi Pawłowi Grasiowi, że Schetyna nie chciał mu przyznać miejsca w dobrym okręgu w wyborach do Senatu. To właśnie podczas tej rozmowy Giertych o wyborcach z Radomia czy wschodniej Wielkopolski mówi „shity", a Tusk dorzuca, że to „zjeby".

Wbrew pozorom nie wulgarne określenia są jednak najważniejsze. Z rozmowy wynika, że ówczesny lider PO pragnie odsunąć Giertycha od partii. Miejsca na listach nie chce przyznać oskarżonemu o korupcję Stanisławowi Gawłowskiemu, któremu ostatecznie ma przekazać zebrane dla siebie podpisy wyborców umożliwiające start w wyborach.

Ta sytuacja pokazuje, że przez chwilę istniała szansa na lepszą Platformę Obywatelską. Z tych taśm Grzegorz Schetyna wyłania się jako lider zupełnie innego formatu niż Tusk. Starający się trzymać z dala od partii ludzi tak szkodliwych i skompromitowanych jak Giertych czy Gawłowski. To on, co prawda, zdecydował się wystawić wspomnianą wcześniej Kidawę-Błońską w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego, ale przecież kandydaturą byli zafascynowani także Graś i Tusk. Szaleństwo i zaślepienie objęło więc szersze kręgi.

Nie ulega wątpliwości, że PO bez owładniętego obsesją nienawiści wobec Jarosława Kaczyńskiego i PiS nihilisty, którym stał się były lider LPR, byłaby inną formacją. To przecież właśnie ta żądza zemsty hodowana latami przez Giertycha w połączeniu z opisaną na innych taśmach (nagranie Ryszarda Kalisza i Aleksandra Kwaśniewskiego sprzed jedenastu lat) mściwością Tuska dało mieszankę wybuchową. Jej skutkiem jest bezprecedensowe łamanie prawa w Polsce, prześladowanie opozycji i niszczenie instytucji państwa.

Nie wiemy oczywiście, czy Grzegorz Schetyna chciał się tylko pozbyć bliskiego współpracownika Tuska, czy rzeczywiście dążył do pewnego oczyszczenia swojej formacji z postaci tak destrukcyjnych jak Giertych. Z nagrań wynika jednak, że adwokat czuł się sponiewierany i zepchnięty na boczny tor, co raczej każe myśleć o obecnym senatorze z Wrocławia nieco cieplej.

GIERTYCH O WYBORCACH Z RADOMIA CZY WSCHODNIEJ WIELKOPOLSKI MÓWI „SHITY", A TUSK DORZUCA, ŻE TO „ZJEBY".

Po latach widzimy bowiem, że ambicje byłego szefa Młodzieży Wszechpolskiej sięgają dalej. Jako czynny adwokat recenzuje działalność prokuratury, a nawet samego ministra sprawiedliwości. Ma realny wpływ na śledztwo w sprawie tzw. dwóch wież, czyli biurowców, które w Warszawie chciały postawić podmioty powiązane z Prawem i Sprawiedliwością, oraz inne postępowania toczone przeciwko politykom PiS.

Jeśli więc na ujawnionych nagraniach nie odnajdujemy tak szokujących fragmentów jak we wcześniejszych, to musimy w nich dostrzec rolę patologii w polityce PO. Tą patologią jest znaczenie i rola Romana Giertycha.

eprasa.pl e740969244

Chodzi o budowanie realnych zdolności obronnych

– Jako państwo nie potrafimy wykorzystać rzeszy rezerwistów, oficerów wykształconych dużym kosztem. A robią to skutecznie podmioty prywatne. Mamy deficyty w cywilnych strukturach państwa i sprawnym poruszaniu się w problematyce bezpieczeństwa, zrozumieniu działających mechanizmów, nawet zrozumieniu stosowanej przez wojskowych terminologii – mówi gen. broni rez. **Dariusz Łukowski**, sekretarz stanu, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, w rozmowie z **Piotrem Grzybowskim**.

Fot. Przemysław Keler / KPRP

– Panie Ministrze, druga kadencja prezydenta Andrzeja Dudy dobiega końca, jaki jest bilans tych 10 lat?

– Prezydent Andrzej Duda trafił na trudne czasy i na wyzwania, których z pewnością się nie spodziewał, obejmując urząd prezydenta RP. Udało się jednak w tym czasie zrobić bardzo dużo dla bezpieczeństwa Polski. Lista państw, które w zaledwie dekadę dokonały takiego progresu, jest bardzo krótka. W drugiej kadencji, przez kryzysy związane z pandemią, agresją na granicę i wojną na Ukrainie, część priorytetów została zweryfikowana, ale jednocześnie państwo dostało potężny impuls reformatorski.

– Z tych słów wnioskuję, że również struktury państwa przeszły test funkcjonalny?

– Refleksja całej klasy politycznej była bardzo głęboka i potrzebna.

eprasa.pl e740969244

Nastąpiła też zmiana paradygmatu w podejściu do bezpieczeństwa. Zrozumiano, że to nie tylko armia, że odporność państwa budować trzeba również w wielu innych obszarach. Przecież kilka lat temu wszelkie działania hybrydowe, jak wysadzanie rurociągów, niszczenie infrastruktury podwodnej, podpalenia na taką skalę, zakłócanie sygnału GPS, wydawały się nieprawdopodobne. Podobnie jeszcze parę lat temu wielu nie wierzyło, że tuż za granicą możemy mieć pełnoskalową wojnę. Dziś to fakty i państwo się do tego stopniowo adaptuje.

– Czy to pokazało nasze słabe punkty, obszary wymagające zmian?

– Bez wątpienia tak. Dlatego prezydent zainicjował choćby ćwiczenia wysokiego szczebla z udziałem rządu oraz innych organów władzy i instytucji. W ich trakcie ćwiczyliśmy funkcjonowanie państwa w sytuacji konfliktu. W ten sposób zweryfikowano całe nasze ustawodawstwo pod kątem zdolności i sprawności reagowania na potencjalne zagrożenia. Wypracowaliśmy wiele rekomendacji, które trafiły m.in. do prezydenckiego projektu ustawy.

– Mówi Pan Generał „o działaniach organów władzy państwowej na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa państwa"?

– Tak, choć ubolewam, że ważna propozycja prezydenta utknęła w Sejmie przede wszystkim z powodu braku zaufania do jej apolityczności. Wiele działań związanych z funkcjonowaniem państwa udało się jednak we współpracy z rządem zainicjować. Ze względu na swój charakter nie mogą być publiczne, ale są efektem wniosków, które wyciągamy z rozwoju sytuacji za naszymi granicami.

– Bezpieczeństwo to też umiejętność komunikacji ze społeczeństwem, przygotowanie do zagrożeń. Co w tym zakresie udało się zrealizować?

– To niezmiernie ważny temat. Kompleksowe przygotowanie wymaga, wzorem państw skandynawskich, realizacji pełnego planu edukacji – począwszy od przedszkola czy szkoły. Trzeba umieć zachować się w obliczu różnego typu zagrożeń, uczyć się pierwszej pomocy. Trwają prace nad różnego rodzaju materiałami informacyjno-szkoleniowymi dla społeczeństwa. Co ważne, weszła w życie ustawa o ochronie ludności. Rolę przygotowania społeczeństwa biorą na siebie też Wojska Obrony Terytorialnej czy szeroko rozumiany trzeci sektor. Wyzwaniem jest odnalezienie się w rzeczywistości nieograniczonego dostępu do mediów społecznościowych, które są wykorzystywane przez przeciwników do siania dezinformacji, podsycania konfliktów i antagonizowania Polaków. Musimy nauczyć się z tym sobie radzić, jak odróżnić prawdę od fałszu – i jako społeczeństwo, i jako państwo. Na poziomie administracyjnym musi to się wiązać z rozbudową i wzmocnieniem dedykowanych struktur.

– Czy w kontekście wniosków z ćwiczeń widzi Pan potrzebę zmian choćby w zakresie kompetencji prezydenta, innych organów państwa, może samego BBN-u?

– Dotknął Pan istoty zagadnienia – podziału kompetencji, zmiany procedur, mechanizmów reakcji na zagrożenia według prawa, przepisów, wreszcie konstytucji. Projektem prezydenckim próbowaliśmy poprawić tylko część, którą jest planowanie obronne. Staraliśmy się uregulować kwestie związane ze Strategią Bezpieczeństwa Narodowego, jej odniesieniem do dokumentów wykonawczych, jak Polityczno-Strategiczna Dyrektywa Obronna, Plan Użycia Sił Zbrojnych RP czy Plan Reagowania Obronnego. Ta grupa dokumentów to swego rodzaju „konstytucja obronności" dla zaawansowanych, na temat których trudno toczyć publiczną debatę, ale jednak fundamentalna dla działania państwa w czasie kryzysu i sprawnego reagowania na pojawiające się zagrożenia.

– A jaki jest los wniosku prezydenta dotyczącego zmiany konstytucji i wpisania 4% PKB na obronność?

– Tu akurat powoli coś się dzieje. Mieliśmy niedawno pierwsze czytanie projektu w Sejmie. Został przekazany do dalszych prac w komisjach: Obrony Narodowej i Finansów Publicznych. Wraz z minister Małgorzatą Paprocką miałem okazję prezentować ten projekt i wyjaśniać, co przemawia za jego przyjęciem.

– Jak Pan przekonywał posłów?

– Przede wszystkim wyślemy w ten sposób jasny sygnał, że identyfikujemy zagrożenia ze strony Rosji jako długofalowe i bardzo poważnie podchodzimy do budowania naszego potencjału odstraszania. To nie chwilowa fanaberia wynikająca z trwającej wojny na Ukrainie i napiętej sytuacji przy naszych granicach. To też silny bodziec dla przemysłu zbrojeniowego zachęcający do długoletnich inwestycji i rozwijania mocy produkcyjnych. Będę pieniądze to będą zamówienia. Nie bez znaczenia jest też komunikat, który w ten sposób wyślemy do sojuszników, przede wszystkim do USA. Ta inwestycja, którą jest konstytucyjne zabezpieczenie nakładów, zaprocentuje na wielu polach.

– Za chwilę odbędzie się kolejny Szczyt NATO w Hadze, pierwszy pod przewodnictwem nowego sekretarza generalnego Marka Ruttego. Które kluczowe zagadnienia będą na nim podjęte?

– Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. A dokładnie poważna zmiana podejścia do sojuszniczych budże-

eprasa.pl e740969244

tów obronnych. Będzie to też krok do potwierdzenia utrzymania więzi transatlantyckiej.

– A jest zagrożenie, że będzie podważana?

– W mediach dominuje pesymizm, mówi się nawet o zrywaniu relacji obu kontynentów. Jednak nie mamy żadnego oficjalnego sygnału o planach redukcji sił USA w Europie. Zapewne w trakcie szczytu NATO będzie mowa o zwiększeniu roli Europy w budowaniu odporności i zdolności obronnych całego Sojuszu. Jak podkreśla amerykańska administracja, są państwa, które „jechały na gapę", gdyż uznawały samo swoje członkostwo w NATO za gwarancję bezpieczeństwa. A przypomnijmy, że przed najczęściej cytowanym art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego jest jeszcze art. 3, który mówi o obowiązku każdego państwa członkowskiego do utrzymywania i rozwoju swojej indywidualnej i zbiorowej zdolności do odparcia zbrojnej napaści.

W badaniach ponad **80% Polaków** chce poprawy bezpieczeństwa i rozbudowy armii.

– Czy Stany Zjednoczone wysyłają sygnał państwom członkowskim przed nadchodzącym szczytem?

– Moim zdaniem tak, i jest on bardzo czytelny. Oczekiwania prezydenta Donalda Trumpa są jasno artykułowane. Europa musi wziąć większą odpowiedzialność za region. Z pewnym optymizmem obserwuję reakcje na te oczekiwania. O ile za pierwszej kadencji prezydenta Trumpa można było usłyszeć dość głośny sprzeciw dla 2% na obronność, tak dziś percepcja zmieniła się nawet wśród sceptyków. Oczywiście atak na Ukrainę był w tym zakresie decydującym czynnikiem. Nawet na niedawnym spotkaniu grupy B9 i państw nordyckich w Wilnie nie słyszeliśmy żadnej negatywnej reakcji na tę propozycję, a są w B9 także państwa prowadzące wstrzemięźliwe polityki w kwestii zwiększania wydatków obronnych.

– Czy to jest swoista koalicja na rozmowy w Hadze?

– Jest dobry klimat i diametralna zmiana. Zwraca się jednak uwagę, aby deklaracja osiągnięcia wydatków na założonym poziomie nie była celem samym sobie. Trzeba to zoperacjonalizować, rozłożyć odpowiednio w czasie. Także z tego względu, że jeśli będziemy działać zbyt szybko, to popyt znacznie przewyższy podaż, wzrosną ceny platform bojowych i w efekcie wzrost cen skonsumuje zwiększony budżet. A przecież nie o to chodzi, by kupować drożej, a więcej. Najważniejsze jest budowanie realnych zdolności obronnych.

– Jaki będzie wkład Polski w to spotkanie?

– Przypomnę, że to właśnie prezydent Duda jako pierwszy podniósł ten temat publicznie, już w 2024 r. w liście do liderów wszystkich państw NATO i sekretarza generalnego, w którym to uzasadniał konieczność ustanowienia progu 3% PKB. W marcu br. dodatkowo apelował, aby ten temat został rozstrzygnięty w Hadze. I tak się dzieje, chociaż oczywiście wiodącym państwem w forsowaniu propozycji są USA.

– Jesteśmy w strefie zagrożenia konfliktem, czy nie jest to czas, aby urzędnicy, od szczebla rządowego począwszy, przechodzili przeszkolenie wojskowe, praktyki poligonowe, może misje bojowe?

– Absolutna zgoda. Ale jako państwo nie potrafimy wykorzystać też rzeszy rezerwistów, oficerów wykształconych dużym kosztem. A robią to skutecznie podmioty prywatne. Mamy deficyty w cywilnych strukturach państwa i sprawnym poruszaniu się w problematyce bezpieczeństwa, zrozumieniu działających mechanizmów, nawet zrozumieniu stosowanej przez wojskowych terminologii. Mam wrażenie, że system pozyskiwania i profesjonalnego przygotowania fachowców ds. bezpieczeństwa działa skuteczniej w wielu innych krajach.

– Dlaczego wobec realnej potrzeby masowego szkolenia wojskowego dla Polaków dalej odłożony jest temat zasadniczej służby wojskowej?

– To temat ważny i trudny zarazem. Decyzje polityczne są w pewnym stopniu ograniczane przez podejście społeczeństwa. Paradoksem jest, że w badaniach ponad 80% Polaków chce poprawy bezpieczeństwa i rozbudowy armii. Ale znacznie niższy jest wskaźnik osób gotowych chwycić za broń i pójść na front walczyć w obronie Ojczyzny.

– Czy Polska po 10 latach kadencji prezydenta Dudy jest bezpieczniejsza?

– Z całą pewnością. Nawet biorąc pod uwagę, że świat stał się o wiele mniej bezpieczny. Bo na ten czas przypadła odbudowa naszych sił zbrojnych, potencjału obronnego, energetycznego, cyberbezpieczeństwa. Jesteśmy bezpieczniejsi i jestem przekonany, że ten proces będzie kontynuowany przez prezydenta Karola Nawrockiego.

Pełną treść rozmowy można przeczytać na naszym portalu Tysol.pl.

Dariusz Łukowski – oficer z doświadczaniem sztabowym oraz w działaniach na misjach. W BBN od listopada 2020 r. – najpierw jako doradca szefa BBN, następnie dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi, od marca 2022 r. jako zastępca szefa BBN. Z dniem 4 lutego 2025 r. powołany na szefa BBN.

eprasa.pl e740969244

Wygaszanie Trzaskowskiego

Jaki będzie los Campusu Polska Przyszłości, sztandarowej inicjatywy Rafała Trzaskowskiego? No właśnie nie do końca wiadomo. Kolejny Campus miał się odbyć w sierpniu, jak co roku. Ale to były plany jeszcze **sprzed wyborczej porażki** protektora i twarzy projektu.

Igor Zalewski

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Wolontariusze byli już umówieni, ale po bolesnym 1 czerwca komunikaty przestały być jednoznaczne. W sierpniu Campusu raczej nie będzie. Może będzie we wrześniu. A może w ogóle się nie odbędzie.

Na razie wiadomo, że nic nie wiadomo. Bardzo możliwe, że Campus Polska Przyszłości będzie pierwszą ofiarą klęski Trzaskowskiego. Bo nie oszukujmy się – inicjatywa miała tyleż aktywizować młodzież i dostarczać jej strawy intelektualnej, co wzbudzić w niej głębokie przekonanie, że Trzaskowski wielkim przywódcą jest. I idealnym kandydatem na prezydenta. Taki dość smakowity koktajl obywatelskich ideałów oraz partyjnej propagandy. Koktajl serwowany w dodatku w sympatycznym naczyniu w postaci kampusu uniwersytetu olsztyńskiego położonego malowniczo pośród jezior. W takich okolicznościach przyrody cudownie jest przeżywać młodzieńcze przygody podlane sosem ze szczyptą polityki.

Było to sprytnie wymyślone po wyborczej porażce roku 2020. Ale ówczesna porażka miała zupełnie inny smak niż ta ostatnia. Wtedy PiS rządziło, miało wiele atutów po swojej stronie, a Platforma Obywatelska wciąż niedomagała po wieloletnim kryzysie. Przegrana Trzaskowskiego – o włos – nie smakowała gorzko, lecz wydawała się iskrą nadziei. Prezydent Warszawy postanowił skumulować energię swych wyborców. Nie poważył się przejąć Platformy Obywatelskiej (ta była już „zarezerwowana" dla Donalda Tuska), ale ogrodził poletko przyszłej prezydentury. A Campus miał być głównym instrumentem w orkiestrze, która wygrywała bojowe marsze w drodze do Pałacu.

Campus Polska Przyszłości z punktu widzenia Platformy Obywatelskiej był inwestycją w Trzaskowskiego. Bo impreza była tyleż efektowna, co droga, a finansowały ją między innymi samorządy związane z PO. Jednak po drugiej porażce Trzaskowskiego sytuacja się radykalnie zmieniła. Mnóstwo kasy wywalono po to, żeby prezydent Warszawy stał się prezydentem Polski na dwie godziny. To nie jest inwestycja o zadowalającej stopie zwrotu. Smak porażki roku 2025 był już zupełnie inny – dominowała gorycz, nadzieję zastąpiła rezygnacja. Przyszłość Campusu stanęła pod dużym znakiem zapytania. Przynajmniej do momentu znalezienia nowej twarzy projektu. W Trzaskowskiego nikt już bowiem nie będzie chciał inwestować. Polityk z dwiema porażkami na koncie jest jak dwukrotny rozwodnik. Bo jeden rozwód każdemu może się przydarzyć, ale drugi budzi już podejrzenia – widać jest coś w tym facecie nie tak i nie można wszystkiego zwalać na jego byłe żony. Tylko wielka ryzykantka zwiąże się z podwójnym rozwodnikiem, a i to tylko wtedy, gdy jest wystarczająco bogaty. A Platforma już nie chce ryzykować. Chce pewnych opcji. Chce gwaranta zwycięstwa.

Stąd zatem kłopoty z Campusem Polska Przyszłość. Trzaskowski będzie teraz powoli „wygaszany" jako lider Platformy, więc zabiera mu się jego ulubioną zabawkę. To pierwszy krok do obniżenia jego politycznej rangi. Krokiem drugim będzie zapewne dymisja Sławomira Nitrasa w ramach rekonstrukcji rządu Donalda Tuska.

eprasa.pl e740969244

Otwarcie Campusu Polska Przyszłości 2024; Olsztyn, 23 sierpnia 2024 r.

Nitras jest ministrem sportu, ale przede wszystkim prawą ręką prezydenta Warszawy. Jego najbliższym kompanem. Był też, umiarkowanie błyskotliwym, mózgiem kampanii prezydenckiej. I jest w PO postrzegany jako główny ojciec wyborczej porażki. Jego ministerstwo może zostać zlikwidowane, dzięki czemu Tusk upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu: odchudzi rząd i pokaże koalicjantom, że poświęca własnych ludzi, ale przy okazji drastycznie ograniczy wpływy środowiska Rafała Trzaskowskiego. Zostanie ono zepchnięte do matecznika niedoszłego prezydenta, czyli do Warszawy. Poza jej rogatki będzie mu trudno wyjść.

Campus miał być **głównym instrumentem** w orkiestrze, która wygrywała bojowe marsze w drodze do Pałacu.

Prezydenta czeka zapewne przyszłość Jerzego Buzka. Polityka, który po kompromitującym premierostwie wydawał się skończony, ale który odbudował się w Brukseli. Nie miał już jednak powrotu do krajowej polityki, kontentując się zaszczytami i stanowiskami w Parlamencie Europejskim (był przewodniczącym PE). Trzaskowski, podobnie jak Buzek, może uzyskiwać rekordowe liczby głosów w eurowyborach – stolica przecież go kocha i tutaj nic się nie zmieni. Bruksela i Strasburg to zresztą miejsca, w których Trzaskowski bez wątpienia się odnajdzie. Nie będzie tam musiał nikogo udawać. Będzie sobą i będzie brylować na tamtejszych salonach. Czy z pożytkiem dla Polski? Cóż, trudno oczekiwać, by Trzaskowski prowadził politykę szczególnie suwerennościową.

W tych rachubach kryje się jeden mały szkopuł. Kadencja Trzaskowskiego jako prezydenta Warszawy skończy się bodaj dwa miesiące po wyborach europejskich. To jeszcze jedna złośliwość losu, których ten ostatnio nie szczędzi prezydentowi Warszawy. Ale zapewne będzie można sobie jakoś z tym poradzić.

Na koniec warto jeszcze na chwilę wrócić do Campusu Polska Przyszłości, by zwrócić uwagę, że ta inicjatywa, prowadzona przecież na wielką skalę, zakończyła się niepowodzeniem. Bo po co był Campus? Po to, żeby Trzaskowski został prezydentem dzięki głosom młodzieży. I co się stało? Trzaskowski nie został prezydentem przez głosy młodzieży. Większość wyborców do 39. roku życia zagłosowała na Karola Nawrockiego, przeciwko idolowi lansowanemu przez Campus. Także więc pod tym względem Campus był nietrafioną inwestycją. Zdecydowanie przegrał z TikTokiem czy YouTube'em.

Co więcej. Obserwujemy teraz gwałtowny zwrot młodego pokolenia na prawo. I wygląda na to, że Polskę Przyszłości projektują tacy politycy jak Karol Nawrocki, Sławomir Mentzen czy Krzysztof Bosak. Jest to Polska bardzo daleka od wyobrażeń panelistów z Campusu. To Polska, która nie ma kompleksów wobec Europy Zachodniej i która nie chce powielać jej błędów, zwłaszcza w dziedzinie polityki migracyjnej. To Polska coraz bardziej sceptyczna wobec wszechwładzy Brukseli. I jest to Polska zaskakująco patriotyczna i konserwatywna. Młodość nadchodzi. Ale nie o taką młodość walczono na Campusie.

eprasa.pl e740969244

Powyborczy klimat na lewicy

Rys. Zbyszek Kaczmarek / Forum

Wbrew zapowiedziom wybory prezydenckie **nie zakończyły** sporu i nie rozstrzygnęły kwestii hegemonii po lewej stronie spektrum politycznego. Ostateczna rozgrywka ciągle jeszcze przed nami.

Marek Nowak

Wierzę, że wicemarszałkini Senatu, Magdalena Biejat, w majowych wyborach prezydenckich zdobędzie znacząco lepszy wynik niż Adrian Zandberg i będzie to koniec Partii Razem – mówił na początku roku w Studiu PAP wiceprzewodniczący Nowej Lewicy Andrzej Szejna. Bliski współpracownik Włodzimierza Czarzastego postawił sprawę jasno. Głównym politycznym celem Nowej Lewicy podczas kampanii prezydenckiej była próba anihilacji Partii Razem, co zapewniłoby formacji kierowanej przez Czarzastego i Biedronia pełną dominację na lewicy. Dla zbuntowanego lewicowca Adriana Zandberga i jego środowiska politycznego była to więc rozgrywka o najbardziej elementarny cel w polityce – przetrwanie. Szanse nie były wyrównane. Partia Razem nie miała funduszy na kampanię. W wyborach parlamentarnych politycy tej formacji startowali z list SLD (po wchłonięciu Wiosny Roberta Biedronia zmienionego w Nową Lewicę), przez co partia nie spełniła wymogów do otrzymania subwencji państwowej. W konsekwencji ugrupowanie Zandberga było jedyną większą partią biorącą udział w wyborach prezydenckich bez dostępu do publicznych środków. Co więcej, pod koniec zeszłego roku Razem przeżyło ogromny wstrząs wewnętrzny, jakim był rozłam partii, odejście ówczesnej współprzewodniczącej Magdaleny

eprasa.pl e740969244

Biejat, grupy posłanek i senatorek, a także wielu członków tego ugrupowania, co spowodowało największy kryzys w historii tej formacji. Gdy Zandberg ogłosił swój start w wyborach, część liberalnych publicystów składała już jego i jego ugrupowanie do grobu. „Resztki Razem właśnie wymaszerowały na margines. O co jeszcze chodzi Zandbergowi?" – pytał na łamach tygodnika „Polityka" Rafał Kalukin. Jednak w kwestii sporu na lewicy pierwsza tura wyborów prezydenckich przyniosła inne rozstrzygnięcie, niż zakładali bliscy obozowi władzy komentatorzy. Adrian Zandberg zdobył 952 821 głosów (4,86%), wyprzedzając Magdalenę Biejat (829 345 głosów – 4,23%), co – biorąc pod uwagę przywoływaną już przeze mnie różnicę politycznych potencjałów – należy traktować jako duży sukces Partii Razem. Sukces ten nie oznacza jednak politycznej dominacji. Ostatecznie oba wyniki, gdyby próbować przełożyć je na poparcie dla partii desygnujących oboje kandydatów, nie gwarantują nawet wejścia do Sejmu. Dla lewicy wybory prezydenckie zamiast obrazu politycznego nieboszczyka i triumfującego nad nim dominatora przyniosły obraz dwóch półżywych. Co wobec tego powinna zrobić każda z formacji, jeśli chce przetrwać? Spróbujmy się temu przyjrzeć.

Klęska Nowej Lewicy

Dla Nowej Lewicy zarówno wynik wyborczy Magdaleny Biejat, jak i „mijanka" z liderem Razem były z pewnością bolesnymi ciosami. – Nie będę was okłamywać, liczyłam na więcej – mówiła zupełnie szczerze sama kandydatka podczas wieczoru wyborczego. Podobne, będące wyrazem rozczarowania, głosy było słychać z ust innych prominentnych polityków Nowej Lewicy. – Wynik był nie najgorszy, ale daleki od tego, czego moglibyśmy sobie życzyć. Potencjał Lewicy jest zdecydowanie większy – mówił wiceszef klubu Lewicy Tomasz Trela na antenie TVP Info. Pytanie, czy rzeczywiście formacja kierowana przez Czarzastego i Biedronia miała realną szansę na uzyskanie większego poparcia? Otóż moim zdaniem nie. Uważam nawet, że gdyby politycy NL postawili w wyborach na kogoś wprost kojarzonego z ich formacją, to skończyłoby się to jeszcze większą katastrofą, bo to nie kandydatka, lecz stojąca za nią formacja były największym problemem w przekonywaniu wyborców. Magdalena Biejat w wielu miejscach swojego programu miała wiele sensownych prospołecznych postulatów, a jej wizerunek osoby rzeczowej, a przy tym sympatycznej i nieagresywnej, mógł przypaść do gustu części wyborców. Pozostaje pytanie o wiarygodność formacji, która desygnowała tę kandydatkę Czy w przypadku Nowej Lewicy mamy jeszcze do czynienia z ugrupowaniem jakkolwiek lewicowym, czy też bezideową, cyniczną partią władzy, gotową na każde możliwe ustępstwo, by się przy tej władzy utrzymać? To, jak formacja ta odeszła od idei lewicowych, widać nawet na najbardziej elementarnym poziomie – w sposobie uprawiania polityki. Tu warto pewne rzeczy przypomnieć.

Bez radykalizmu, bez podmiotowości, bez ambicji

Jeśli popatrzymy, czy to na dorobek intelektualny myślicieli lewicowych, czy na tradycję historyczną ruchu lewicowego, to możemy śmiało postawić tezę, że myśl lewicowa wzięła się ze sprzeciwu wobec niesprawiedliwości społecznej, wobec wyzysku społecznego itd. To jest rzecz absolutnie kluczowa dla pojęcia lewicy. Konstrukcje polityczne w rodzaju państwa opiekuńczego pojawiają się dużo później, jako sposób walki z tymi nierównościami. Jednak tym, co cechowało myślenie lewicowe przez wiele lat, był pewien radykalizm, aż do pojęcia rewolucji włącznie. Lewica żyła przez dziesiątki lat ideami walki klasowej, zwycięstwa i zapanowania sprawiedliwości społecznej. Ten radykalizm był wręcz wpisany w DNA myślenia lewicowego i był również czynnikiem, którym ta formacja przez wiele lat przyciągała do siebie ludzi (z jednej strony przedstawicieli grup wykluczonych liczących na poprawę własnego losu, z drugiej przeważnie młodych idealistów nie godzących się z zastanym porządkiem świata). Można powiedzieć, że lewica stawiała pewne sprawy jasno i w tym kryła się jej polityczna siła. Tymczasem dzisiejsza lewica często to odrzuca. Dawna wiara, że społeczny gniew może mieć naturę

DLA LEWICY WYBORY PREZYDENCKIE ZAMIAST OBRAZU POLITYCZNEGO NIEBOSZCZYKA I TRIUMFUJĄCEGO NAD NIM DOMINATORA PRZYNIOSŁY OBRAZ DWÓCH PÓŁŻYWYCH.

eprasa.pl e740969244

transformacyjną dla świata w stronę bardziej sprawiedliwą, została zastąpiona przez przekonanie, że takie zjawiska, jak gniew społeczny czy bunt, są czymś z samej swojej natury podejrzanym. Z marzeń o byciu awangardą społecznych zmian pozostało niewiele, a nową polityczną rolą została obrona status quo poprzez głoszenie haseł o „odpowiedzialności za państwo" czy też „walce z radykalizmem". Patrząc na Nową Lewicę, widać całą tę polityczną drogę. Od bywającego ostrym krytykiem balcerowiczowskiej transformacji SdRP, przez chodzącą na zgniłe kompromisy partię władzy SLD, do smutnego obrazu, który prezentuje dziś sobą Nowa Lewica. Brak jakkolwiek rozumianego „radykalizmu" połączony z postrzeganiem samych siebie jako części dzisiejszego systemu (a także jego obrońców) powoduje, że NL jest formacją pozbawioną nie tylko własnej podmiotowości, ale także wszelkiej politycznej ambicji. To skrajne podporządkowanie PO i jej liderom widać niemal na każdym kroku.

CZY NOWA LEWICA TO JESZCZE UGRUPOWANIE LEWICOWE, CZY TEŻ CYNICZNA PARTIA WŁADZY, GOTOWA NA KAŻDE USTĘPSTWO, BY SIĘ PRZY TEJ WŁADZY UTRZYMAĆ?

Przede wszystkim nie zaszkodzić PO

W czasie kampanii prezydenckiej Biejat nie chodziła na debaty do największej stacji informacyjnej, TV Republika, co z politycznego punktu widzenia było czystym szaleństwem. Warto podkreślić, że pierwszy decyzję o bojkotowaniu prawicowych mediów podjął sztab Rafała Trzaskowskiego. Sztab Biejat uczynił to później, powtarzając całą argumentację – niczym polityczny klon. Przed drugą turą wyborów prezydenckich kandydatka NL „oddała" swoje poparcie Trzaskowskiemu w zasadzie za darmo – trudno nazywać politycznym uzyskiem mgliste zapewnienia odnośnie do wsparcia programu mieszkaniowego lewicy.

W CZASIE KAMPANII PREZYDENCKIEJ BIEJAT NIE CHODZIŁA NA DEBATY DO NAJWIĘKSZEJ STACJI INFORMACYJNEJ, TV REPUBLIKA, CO Z PUNKTU WIDZENIA POLITYCZNEGO BYŁO CZYSTYM SZALEŃSTWEM.

– To przecież naturalne, że będziemy głosować na Rafała Trzaskowskiego. My współrządzimy. Tu warunków nie może być – mówił w radiowej Jedynce przywoływany już w tym tekście wiceszef klubu Lewicy Tomasz Trela. Podobna uległość jest widoczna w kwestiach programowych. Przed wyborami lewica obiecywała wzrost płacy minimalnej o 7,5%. Oficjalna rządowa propozycja zakłada wzrost o 3% (co wobec inflacji daje zerową albo nawet ujemną podwyżkę). Nie słychać protestów polityków NL w tej sprawie. Od polityków Razem słyszałem, że gdy partia ta była jeszcze w jednym klubie z NL i chciała twardo postawić jakąś kwestię programową, to zjawiał się Włodzimierz Czarzasty i ogłaszał, że „nie zaryzykuje rozpadu koalicji". Oczywiście można uznać, że tego typu opowiadania to jedynie czarna legenda rozgłaszana przez dawnego politycznego partnera. Niemniej cała postawa polityczna zarówno od strony komunikacyjnej, jak i realnego politycznego działania uwiarygodniają takie opowieści. Formacja Czarzastego kompletnie za darmo poparła wotum zaufania dla premiera Tuska, mimo iż gołym okiem widać, że obecna większość, jeśli chce myśleć o politycznym odbiciu, potrzebuje zmiany lidera. Słabość premiera była aż nadto widoczna w ostatnich dniach kampanii, a jego półprzytomna tyrada wygłoszona na antenie Polsatu, podczas której Donald Tusk powoływał się na ska-

eprasa.pl e740969244

zanego za pomówienia freakfightera Jacka Murańskiego w celu zaszkodzenia kantatowi PiS, z pewnością nie przysłużyła się końcówce kampanii Rafała Trzaskowskiego. Co więcej, exposé pokazało, że premier nie jest zdolny do żadnej autorefleksji. Jeśli liderzy Nowej Lewicy nie widzą, że obecna polityka pcha ich już nie w stronę politycznej nieistotności (to już się wydarzyło), lecz całkowitego zniknięcia ze sceny politycznej, to warunkiem niezbędnym dla przetrwania całej formacji jest wymiana takiego kierownictwa.

Razem na rozdrożu

Mimo podobnego wyborczego wyniku sytuacja w Razem po wyborach prezydenckich jest zupełnie inna. Formacja uniknęła śmierci, pokonała w symbolicznym pojedynku politycznego rywala, a co najważniejsze, na nowo uwierzyła w sens własnego istnienia. Razem, jak na lewicę przystało, znowu stało się formacją buntu wyrażającą gniew i niezadowolenie, a jej lider swoimi merytorycznymi wystąpieniami w debatach prezydenckich stał się jednym z najbardziej wyrazistych krytyków obecnego rządu. Pytanie: „Co dalej?" jest tu kwestią kluczową. Do kogo chce się zwracać Partia Razem po wyborach? W kampanii za swój target obrali niezadowolonych wyborców obecnej koalicji. Widać to zwłaszcza w przepływach wyborców w drugiej turze, w której 83,8% wyborców Zandberga zagłosowało na Trzaskowskiego. Kontynuacja tej strategii może zapewnić Razem bezpieczne przekroczenie progu wyborczego (rozczarowanych polityką obecnej koalicji wyborców z pewnością będzie przybywać), a w przyszłości rolę „języczka u wagi" przy tworzeniu kolejnego liberalno-lewicowego rządu. Części polityków Razem, z którymi rozmawiałem, taka rola wyraźnie odpowiada. W ich optyce razemowska lewica jest kimś w rodzaju zbawcy liberalnej demokracji przed „strasznym" prawicowym populizmem. Razem jest „strategicznym zasobem polskiej demokracji" – twierdzą niektórzy przedstawiciele tego ugrupowania. Jednak takie podejście ma liczne mankamenty. Po pierwsze – Razem w takim układzie byłoby na trwałe skazane na rolę mniejszego partnera w koalicji, może gdzieniegdzie potrafiącego przewalczyć jakiś ważny dla siebie postulat, lecz ostatecznie skazanym na funkcję, w najlepszym razie, dokonującego korekty danej polityki, nigdy zaś ją projektującego. Po drugie – koncepcja Razem jako „zasobu strategicznego polskiej demokracji" to twór zrodzony z politycznych fantazji, którego w realnym świecie nikt nie chce i nie potrzebuje – co już teraz widać w hejcie wylewanym przez polityczny mainstream na Zandberga i jego formację. Wiara, że to się zmieni, jedynie utrudnia konfrontację z rzeczywistością. A ta wygląda następująco: w sytuacji, kiedy liberalny mainstream na całym świecie sięga po niedemokratyczne metody w celu spetryfikowania własnej władzy, dalsze opowiadanie społeczeństwu, że mamy do czynienia z konfrontacją między liberalnymi demokratami i prawicowymi autorytatystami, jest nie tylko sprzeczne z rzeczywistością, ale też politycznie niefunkcjonalne, gdyż utrudnia dotarcie do potencjalnego elektoratu. W drugiej turze wyborów prezydenckich na Karola Nawrockiego głosowały nie tylko grupy ekonomicznie lub symbolicznie tradycyjnie wykluczone (rolnicy, robotnicy, osoby bezrobotne, emeryci i renciści), ale także 53% ludzi młodych, w tym 45% uczniów i studentów. Tak jak pisałem w poprzednim numerze naszego tygodnika, obecny system, ze względu na swoją wykluczającą coraz większe grupy społeczne naturę, jest coraz powszechniej odrzucany. Prawica w Polsce widzi więcej i już teraz bierze udział w sporze na temat tego, jak ma wyglądać nowa społeczno-polityczna rzeczywistość, która zastąpi obecną. Jeśli lewica chciałaby do tego sporu przystąpić, powinna wykazać się dojrzałością i odwagą do przekroczenia ram własnego środowiska i jego fantazji. Taki kierunek w Razem od dawna wskazuje Paulina Matysiak. Jeszcze kilka miesięcy temu była za to poddawana ostracyzmowi w swoim środowisku politycznym. Dziś, gdy rozmawiam z politykami Razem, widzę coraz większe zrozumienie dla prezentowanej przez nią postawy. Czy ten kierunek myślenia ostatecznie zwycięży? Na dziś trudno powiedzieć. Już w tych wyborach mogliśmy zaobserwować przepływy elektoratu między Adrianem Zandbergiem a... Sławomirem Mentzenem. Przynajmniej dla części elektoratu antysystemowego Razem może być potencjalną opcją wyboru. Czy politycy tej formacji będą mieli dość odwagi i umiejętności, by sięgnąć po to poparcie? Odpowiedź na to pytanie zdefiniuje nie tylko kwestię hegemona na lewicy, ale także całą przyszłość lewicy w Polsce na długie lata.

FORMACJA CZARZASTEGO KOMPLETNIE ZA DARMO POPARŁA WOTUM ZAUFANIA DLA PREMIERA TUSKA.

eprasa.pl e740969244

Czy rząd doceni pracowników pomocy społecznej?

Pensje pracowników socjalnych na poziomie 5 tysięcy złotych brutto to standard w skali kraju. Ostatnie rządy wysiliły się jedynie na przyznanie czasowych dodatków do wynagrodzeń, i to nie bez koincydencji z datą wyborów. Jeden z najmocniej sfeminizowanych sektorów pozostaje **niedoceniony** pomimo narastającego kryzysu demograficznego.

Marcin Krzeszowiec

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, minister rodziny, pracy i polityki społecznej

Fot. Attila Husejnow / Forum

Uwagę mediów zawsze najbardziej przykuwały huczne protesty górników palących opony czy rolników blokujących drogi traktorami. Na tapecie pojawiały się także strajki pielęgniarek i protesty medyków rozbijających „białe miasteczka".

Istnieje też 200-tysięczna rzesza pracowników, która nie wzbudza aż takich emocji, ale definitywnie potrzebuje szacunku i docenienia – to pracownicy pomocy społecznej.

Opiekują się naszymi dziadkami, babciami, niepełnosprawnymi, tworzą rodziny zastępcze, pomagają matkom samotnie wychowującym dzieci czy osobom w kryzysie bezdomności. Ale dlaczego ich głos jest tak mało słyszalny?

Po pierwsze – strajki, których skutki są natychmiast odczuwalne przez obywateli, mają większą siłę przebicia niż apele, pisma i prośby kierowane do ministerstwa. Nikt nie chce spóźnić się do pracy, bo demonstranci zablokowali ulice, nikt nie chce mieć odwołanej wizyty przez protest medyków ani szukać opieki dla dzieci, bo trwa protest nauczycieli.

Pracownicy pomocy społecznej są także mniej widoczni dla społeczeństwa. Nie odwiedzamy na co dzień MOPR-u, DPS-u, domu samotnej matki czy schroniska dla bezdomnych.

Większość osób ma w życiu na tyle szczęścia, że nie musi błagać o wsparcie pomocy społecznej – przynajmniej dopóki nie przydarzy się im sytuacja ultrakryzysowa. Jeśli

eprasa.pl e740969244

nie mamy styczności z pracownikami pomocy społecznej, to naturalnie stają się dla nas mniej widoczni.

Mało kto widzi siebie w hospicjum, „domu starców" albo pod mostem. Myślimy, że nie znajdziemy się w takiej sytuacji i nas to raczej nie spotka. A nawet jeśli, to na pewno ktoś nam pomoże, na pewno nie zabraknie pracowników socjalnych, pielęgniarek i opiekunek, którzy o nas zadbają... No właśnie, czy na pewno? Zapotrzebowanie na pomoc społeczną będzie wzrastać, bo Polska i cała Europa gwałtownie się starzeją. Ten system musi sprawnie działać i stać się atrakcyjny dla pracowników.

I skoro udało się podnieść standardy wynagrodzeń dla pielęgniarek, położnych czy farmaceutów – patrz ustawa o minimalnym wynagrodzeniu w ochronie zdrowia – na pewno to samo można uczynić dla pracowników pomocy społecznej.

Potrzebna jest do tego atencja opinii publicznej, bo niewiele osób interesuję się sytuacją DPS-ów, domów samotnej matki, pieczy zastępczej czy schroniskami dla bezdomnych. Praca w pomocy społecznej to cicha służba, obciążająca psychicznie, emocjonalnie i niestety mało atrakcyjna z punktu widzenia młodych ludzi. Wyjątkiem był czas pandemii, gdy kontakt z bliskimi był utrudniony, a czasem nawet niemożliwy. Wtedy, przynajmniej przez moment, więcej mówiło się o poświęceniu, które w swoją pracę wkładają osoby zatrudnione w domach pomocy społecznej, hospicjach i zakładach opiekuńczo-leczniczych.

Zapomniane bieda domy

Tym, co ludzi najmocniej zniechęca i doprowadza do białej gorączki, są oczywiście wynagrodzenia. To niskie pensje spowodowały kilka lat temu serię protestów na Lubelszczyźnie. Zorganizował je wówczas zespół NSZZ „Solidarność" zrzeszający siedemnaście domów pomocy społecznej. „Zapomniane bieda domy" pikietowały w 2022 roku przed siedzibami władz powiatowych w Kraśniku, Świdniku i Lublinie, Lubartowie, Chełmie, Krasnymstawie, Zamościu i Biłgoraju. Związkowcy zwracali uwagę nie tylko na liche zarobki, ale też na dyskryminację pracowników medycznych – pielęgniarek i fizjoterapeutów, którzy dostawali niższe wypłaty w DPS-ach niż ich odpowiednicy w szpitalach.

W tym kontekście warto przywołać badanie, które w styczniu tego roku Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przeprowadziło w miejskich ośrodkach pomocy rodzinie, centrach usług społecznych, powiatowych centrach pomocy rodzinie oraz ośrodkach pomocy społecznej.

ŚREDNIE WYNAGRODZENIE PRACOWNIKÓW SOCJALNYCH WAHA SIĘ OD 4970 ZŁ DO 5284 ZŁ BRUTTO.

Z danych wynika, że średnie wynagrodzenie pracowników socjalnych waha się od 4970 zł do 5284 zł brutto zależnie od województwa. Na niewiele więcej – średnio 5800 zł – mogą liczyć osoby na najwyższych stanowiskach głównych i starszych specjalistów.

Te kiepskie statystyki nie obejmują dodatku motywacyjnego, który rząd wypłaca pracownikom pomocy społecznej od lipca 2024 roku. Jest to kwota w wysokości 1000 zł brutto miesięcznie. Środki trafiają na konta pracowników wykonujących obowiązki wynikające z ustawy o pomocy społecznej – ten felerny zapis spowodował jednak wykluczenie wielu osób.

Na dodatek motywacyjny nie załapali się pracownicy zespołów ds. orzekania o niepełnosprawności, obsługujący świadczenia rodzinne czy fundusz alimentacyjny. Co więcej, są oni podwójnie poszkodowani, bo często nie otrzymują też podwyżek przeznaczonych dla pracowników samorządowych.

Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której część pracowników dostaje 1000 zł do wypłaty więcej niż ich koledzy i koleżanki siedzący w pomieszczeniu obok. Wszyscy świadczą pomoc społeczną, ale jedni są lepiej wynagradzani od drugich, bo ministerstwo wypuściło bubel prawny i nie zamierza go naprawić.

Ale na tym nie koniec. Absurdem do kwadratu jest fakt, że dodatki motywacyjne przysługują nawet sprzątaczkom. Panie dbające o porządek w PCPR otrzymują ekstra pieniądze, podczas gdy pracownicy zespołów ds. orzekania o niepełnosprawności mogą liczyć na figę z makiem.

Jakby tego było mało, to rządowy dodatek ma obowiązywać tylko do końca 2027 roku. Dlaczego? Być może z powodu wyborów parlamentarnych. To taka podprogowa sugestia: „Zagłosujcie na nas, bo stracicie pieniądze". W końcu chodzi o blisko 200 tysięcy głosów wyborczych. Bądźmy jednak uczciwi – PiS nie było w tej sprawie lepsze, a wręcz przeciwnie. Za czasów Zjednoczonej Prawicy pracownicy DPS otrzymali tylko 600 zł brutto dodatku, i to wypłacanego przez kilka miesięcy, od kwietnia do grudnia 2023 roku.

To pokazuje, że ani jeden, ani drugi rząd nie był w stanie odkleić się od politycznego kalendarza

eprasa.pl e740969244

i dosypać pieniędzy na stałe. Żadna opcja polityczna nie wykazała zainteresowania tym, żeby rozwiązać problem niskich wynagrodzeń w pomocy społecznej w sposób systemowy i nie oglądać się na korzyści wyborcze.

Osoby duchowne, konsekrowane i świeccy katoliccy każdego dnia działają na rzecz chorych, ubogich, niepełnosprawnych, bezrobotnych, seniorów, ofiar przemocy, a także ludzi wychodzących z kryzysu bezdomności i uzależnień. Nie trzeba wiele pisać, wystarczy tylko nadmienić, że przez instytucje kościelne prowadzone jest co trzecie hospicjum w Polsce i niemal co piąty dom pomocy społecznej. Bez udziału Kościoła nasz system pomocy społecznej po prostu by się zawalił. Warto, żeby rządzący w końcu to docenili, odcięli się od szemrających na Kościół nienawistników i pomyśleli, co można zrobić wspólnie na rzecz najbardziej potrzebujących. A do zrobienia jest wiele.

PRACA W POMOCY SPOŁECZNEJ TO CICHA SŁUŻBA, OBCIĄŻAJĄCA PSYCHICZNIE, EMOCJONALNIE I NIESTETY MAŁO ATRAKCYJNA Z PUNKTU WIDZENIA MŁODYCH LUDZI.

Prędzej czy później trzeba to jednak załatwić, bo niemal 2,5 mln Polaków żyje w skrajnym ubóstwie, drugie tyle to osoby ze znacznym lub umiarkowanym stopniem niepełnosprawności, ponad 1,2 mln ludzi korzysta ze środowiskowej pomocy społecznej, około 300 tys. obywateli naszego kraju pobiera rentę socjalną, wskaźnik urodzin szoruje po dnie, w ciągu ośmiu lat przybyło ponad milion seniorów i jest ich obecnie blisko 10 milionów. Te liczby pokazują, że pomoc społeczna powinna być dla rządzących priorytetem. Kryzys demograficzny postępuje, ludzie żyją coraz dłużej, ale często przykuci do łóżka i całkowicie uzależnieni od bliźniego, seniorzy napotykają bariery technologiczne, ale nie ma im kto pomóc, bo rodziny wielodzietne i wielopokoleniowe odchodzą w przeszłość.

Tymczasem ze strony rządu widzimy bezsensowną walkę z religią w szkołach, promowanie „alternatywnych" form rodziny, nienawiść do duchownych i kpiny z wierzących. Trzeba zatem przypomnieć, że to Kościół katolicki jest największą organizacją charytatywną w Polsce i na całym świecie.

INSTYTUCJE KOŚCIELNE PROWADZĄ CO TRZECIE HOSPICJUM I NIEMAL CO PIĄTY DOM POMOCY SPOŁECZNEJ W POLSCE.

Kompleksowa reforma

System pomocy społecznej spoczywa w największej mierze na barkach samorządów, a wyzwania finansowe mogę je przerosnąć. Pracownicy wskazują na konieczność wprowadzenia dodatkowych urlopów, zwiększenia dodatków na pracę w niedziele, święta i w porze nocnej, waloryzacji dodatku terenowego, nadania pracownikom placówek opiekuńczo-wychowawczych statusu funkcjonariusza publicznego, wyznaczenia ścieżek zawodowych czy wprowadzenia bezpłatnej ochrony prawnej.

Swoje postulaty mają także zawodowe rodziny zastępcze, które domagają się zwrotu kosztów za media czy remont lokalu, w którym sprawowana jest opieka, prawa do urlopu dla poratowania zdrowia wzorem nauczycieli czy pierwszeństwa przyjęcia do szkół i przedszkoli dzieci, którymi się opiekują.

Warunki pracy muszą być również zachęcające dla młodego pokolenia. Nie jestem pewien, czy pokolenie zatroskane o losy planety wykaże równie wielką troskę o potrzebujących.

Już dzisiaj brakuje na rynku pracowników socjalnych, a z barometru zawodów wynika, że opiekunowie osób starszych i niepełnosprawnych to zawód deficytowy nieprzerwanie od ostatnich 5 lat!

Na koniec jedna uwaga. Jeżeli którakolwiek z partii politycznych zamierza licytować się, kto ma bardziej prokobiecą ofertę programową, to proszę bardzo. Nie ma lepszego sposobu niż wsparcie sektora pomocy społecznej, który jest jednym z najbardziej sfeminizowanych w całym kraju.

eprasa.pl e740969244

KARUZELA BLOGERAMI

ROSEMANN

MIT ZAŁOŻYCIELSKI

Wygląda na to, że mit wyborów „ukradzionych" w jakiś zdumiewający sposób przez Przemysława Czarnka do spółki z ojcem Tadeuszem Rydzykiem wcale nie musi zostać hermetycznym przekazem Romana Giertycha skierowanym do przypominających coraz bardziej szaloną sektę zwolenników jego radykalnych pomysłów na „porządkowanie" naszej polityki. Protest zamierza również złożyć sztab Rafała Trzaskowskiego, a jego podstawy – jak wynika ze słów Cezarego Tomczyka, jednego z szefów kampanii Rafała Trzaskowskiego – są mocno zbieżne z sugestiami Giertycha.

Pobieżne zapoznanie się z wątpliwościami i przywoływanymi „anomaliami" prowadzi do wniosku, że główną „anomalią" tych wyborów jest to, że Rafał Trzaskowski przegrał, a – zdaniem jego otoczenia – powinien wygrać. I nie piszę tego ironicznie. Do tego w zasadzie sprowadza się cała próba podważenia wyniku z 1 czerwca 2025 r.

Po zagłębieniu się w szczegóły przywoływanych wątpliwości można zauważyć rzecz dość absurdalną. Otóż do nieprawidłowości miało dochodzić tam, gdzie Trzaskowski w pierwszej turze wygrał, a więc w rejonach, w których obecna koalicja rządowa ma większe poparcie i wygrywa wybory. To bardzo istotne, za nieprawidłowości bowiem odpowiadałby nie żaden Czarnek czy Rydzyk, ale... samorządy, w których władzę sprawują ci, którym zdecydowanie bliżej do Rafała Trzaskowskiego niż do Karola Nawrockiego. To bardzo istotne, ponieważ sugerowane „fałszerstwo" nie byłoby możliwe do przeprowadzenia przez pojedynczą osobę, lecz wymagałoby współpracy większości komisji. Tych powołanych i obsługiwanych przez wspomniane samorządy.

Pisząc to, nie wiem, jakie będą losy protestu Giertycha i protestu sztabu Trzaskowskiego. Mam nadzieję, że ludzie odpowiedzialni za kontrolę procesu wyborczego okażą się naprawdę odpowiedzialni. W innym wypadku – miej nas, Boże, w swej opiece.

Co do Romana Giertycha trudno zgadnąć, o co tak naprawdę on gra. Może jest zdesperowany, bo bardzo mocno postawił na to „domknięcie systemu", którego symbolem miała być wygrana Trzaskowskiego. Ludzie mówią, że dla Giertycha to domknięcie to koniec licznych kłopotów, przez które swego czasu udał się z ziemi polskiej do włoskiej. Ale może być też tak, że buduje sobie zaplecze, może dość niszowe, ale za to niezwykle trwałe, dzięki któremu będzie mógł istnieć w polityce niezależnie od widzimisię dotychczasowych protektorów.

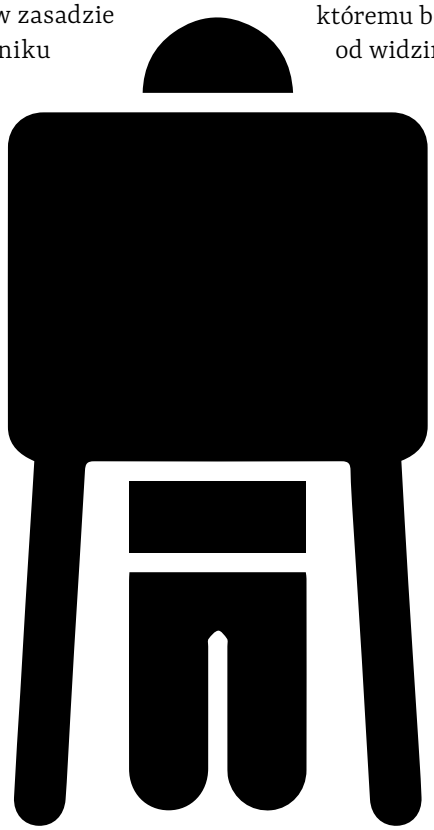

A „ukradzione wybory" to mit założycielski, który jego sektę trwale sklei.

Po co natomiast w giertychowskie fantazmaty zamierza zanurzyć się otoczenie Trzaskowskiego? Bo jemu też ten mit pasuje. Nie, nie z powodów sięgających jakoś dalej w przyszłość. Po prostu w ten sposób ludzie, którzy w tak koncertowy sposób przegrali wybory, które wydawały się równie wygrane jak wygrane w styczniu i lutym 2015 r. wydawały się te, w których zwyciężyć miał Bronisław Komorowski, mają szansę zrzucenia z siebie odium skończonych przegrywów, przez których „silna Polska w nowoczesnej Europie" może nigdy nie zaistnieć. A tak wyjdzie, że są ofiarami, a nie sprawcami. Warto o to zagrać, jeśli ma się jakieś tam plany na przyszłość w polityce.

eprasa.pl e740969244

Troje dziennikarzy „Tygodnika Solidarność” z nagrodą i wyróżnieniami SDP!

Dziennikarka „TS” oraz TV Republika Monika Rutke otrzymała nagrodę im. Stefana Żeromskiego za reportaż „Zakaz wstępu” opublikowany na portalu Tysol.pl. Krzysztof Karnkowski został wyróżniony w konkursie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za opublikowanie na łamach „TS” tekstu „J.D.Vance. Z pasa rdzy na sam szczyt?”, a Marcin Krzeszowiec za artykuł „Stalowa agonia”.

Agnieszka Żurek

Wyróżnienie otrzymał także Dariusz Brożyniak za artykuł „Tu jest Polska. Pomnik «Rzeź Wołyńska» w Domostawie” opublikowany na łamach portalu Tysol.pl. W uroczystej gali wręczenia nagród w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wzięli udział redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” Michał Ossowski i redaktor naczelny portalu Tysol.pl Cezary Krysztopa.

Dramat powodzian

Monika Rutke została nagrodzona za reportaż ukazujący dramatyczną sytuację powodzian oraz zaniechania rządu w aspekcie świadczenia pomocy poszkodowanym, jak również arogancję rządzących. „Prawie trzy miesiące po powodzi. Lądek-Zdrój zasypany już śniegiem, temperatury spadają poniżej zera. Większość mieszkańców wciąż nie wróciła do swoich domów. Nie zdążyli ich wyremontować, bo wsparcie od państwa dotarło zbyt późno. A w wielu przypadkach nie dotarło lub nie dotrze wcale” – opisywała w swoim reportażu Monika Rutke. Dziennikarka ujawniła absurdy urzędnicze, chaos i brak skoordynowanych i skutecznych działań ze strony rządu, który doprowadził do tragedii wielu rodzin poszkodowanych w powodzi.

> Nasza dziennikarka ujawniła absurdy urzędnicze, chaos i brak skoordynowanych i skutecznych działań ze strony rządu, który doprowadził do **tragedii** wielu rodzin poszkodowanych w powodzi.

Krzysztof Karnkowski otrzymał wyróżnienie za przedstawienie sylwetki nowego wiceprezydenta USA J.D. Vance’a. Opisuje w swoim tekście zarówno rodzinne środowisko Vance’a znane z jego „Elegii dla bidoków”, rysując tym samym portret tej części Stanów Zjednoczonych, z której wywodzi się Vance, a która pod wieloma względami przypomina niektóre rejony polskiego Śląska czy innych terenów poprzemysłowych. Karnkowski opisuje także nieoczywistą drogę polityczną obecnej prawej ręki Donalda Trumpa, który wcześniej znany był z ostrej krytyki 45. i 47. prezydenta USA.

Marcin Krzeszowiec został wyróżniony za tekst opisujący zapaść polskiego hutnictwa. „Z całego kraju napływają niepokojące informacje o likwidacji kolejnych zakładów hutniczych. Przemysł stalowy znalazł się w głębokim kryzysie, a hutnicy muszą wykazać się nomen omen stalowymi nerwami, by nie stracić nadziei na utrzymanie miejsc pracy” – pisze w swoim reportażu nasz dziennikarz. Przytaczając słowa szefa hutniczej Solidarności Andrzeja Karola, wskazuje na klu-

Fot. M. Żegliński (3)

Krzysztof Karnkowski otrzymał wyróżnienie za przedstawienie sylwetki nowego wiceprezydenta USA, J.D. Vance’a

eprasa.pl e740969244

Monika Rutke została nagrodzona za reportaż ukazujący dramatyczną sytuację powodzian

czowe pytanie o to, czy Europa chce „zachować europejskie hutnictwo, czy myśli wyłącznie o przetwórstwie wsadu dostarczanego z zewnątrz, czyli krajów mających za nic unijną politykę klimatyczną”.

„Mówmy prawdę, ale z miłością”

Laur SDP otrzymał za całokształt działalności na niwie medialnej twórca Radia Maryja i Telewizji Trwam ks. dr Tadeusz Rydzyk, redemptorysta. W swoim przemówieniu wskazał on na konieczność niezłomnej obrony prawdy w życiu publicznym, ale także na głoszenie jej z miłością, „w poszanowaniu dla godności dziecka Bożego, którą posiadają niezbywalnie także nasi nieprzyjaciele”.

Główną Nagrodę Wolności Słowa „za publikacje w obronie prawdy i sprawiedliwości” otrzymała Danuta Holecka z TV Republika za wywiady telewizyjne z Grażyną Olszewską, mamą ks. Olszewskiego, z Urszulą Dubejko i Karoliną Kucharską po opuszczeniu aresztu oraz z posłami Mariuszem Kamińskim i Maciejem Wąsikiem po opuszczeniu aresztu.

Główna Nagroda Wolności Słowa dotyczy publikacji w obronie prawdy i sprawiedliwości, demaskujących nadużycia władzy, korupcję, naruszanie praw obywatelskich i praw człowieka. Nagroda Watergate przyznawana jest za dziennikarstwo śledcze, nagroda im. Kazimierza Dziewanowskiego za publikacje o problemach i wydarzeniach na świecie, nagroda im. Macieja Łukasiewicza za publikacje na temat współczesnej cywilizacji i kultury oraz popularyzację wiedzy, nagroda im. Janusza Kurtyki za publikacje o tematyce historycznej, nagroda im. Eugeniusza Kwiatkowskiego za dziennikarstwo ekonomiczne, a nagroda im. Stefana Żeromskiego za publikacje o tematyce społecznej. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich przyznaje również nagrodę dla młodych dziennikarzy oraz nagrodę im. Erazma Ciołka za fotografię prasową.

Konkurs obejmował prace dziennikarskie opublikowane w 2024 r. Wpłynęły 202 publikacje – filmy dokumentalne, reportaże radiowe i telewizyjne, artykuły i ich cykle oraz książki pisane przez dziennikarzy. Laureaci nagród w poszczególnych kategoriach otrzymają nagrody pieniężne, vouchery na weekendowe pobyty w Domu Dziennikarza w Kazimierzu Dolnym, książki ufundowane przez wydawnictwo „Biały Kruk” oraz pamiątkowe dyplomy.

Konkurs Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich to **najstarszy i najbardziej prestiżowy** konkurs dziennikarski w naszym kraju. Organizowany jest od 1992 r.

Konkurs Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich to najstarszy i najbardziej prestiżowy konkurs dziennikarski w naszym kraju. Organizowany jest od 1992 r. Nagrody przyznawane są coroczne w kilku kategoriach autorom tekstów prasowych, audycji radiowych, programów telewizyjnych oraz fotografii prasowych wyróżniających się rzetelnością, wartością informacyjną i jakością realizacji materiału. Laureaci otrzymują dyplomy honorowe oraz nagrody pieniężne fundowane przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i prywatnych sponsorów. W każdej kategorii przyznawane są także honorowe wyróżnienia.

W imieniu Marcina Krzeszowca nagrodę odebrał redaktor naczelny portalu Tysol.pl Cezary Krysztopa

eprasa.pl e740969244

ORLEN stawia na rozwój i zyski

Dobre wyniki polskiego koncernu multienergetycznego pozwoliły na decyzję o **wypłacie dywidendy** akcjonariuszom spółki. To niemal 7 mld złotych, które trafią do właścicieli i inwestorów na początku września. To nie jedyna strategiczna decyzja ostatniego Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia ORLENU. Spółka przeznaczy w tym roku ponad 35 mld złotych na inwestycje rozwojowe.

Zgodnie z ogłoszonymi właśnie decyzjami właścicielskimi Grupy ORLEN, polskiego giganta paliwowego i narodowej perły rynku energii, dywidenda za 2024 rok tej jednej z najważniejszych spółek na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie i jednocześnie jednej z najdynamiczniej rozwijających się spółek energetycznych w Europie, wyniesie niemal 7 mld złotych. To oznacza dywidendę w wysokości 6 złotych za każdą akcję spółki. Warto zauważyć, że to najwyższa wypłata w historii spółki, będąca bezspornie efektem bardzo dobrego 2024 roku. W minionych 12 miesiącach spółka wypracowała bowiem wysokie wyniki w kluczowych obszarach swojej działalności.

Rosnące znaczenie ORLENU

Największy wpływ na osiągnięte w 2024 roku wyniki miały segmenty wydobycie i gaz, które łącznie odpowiadały za 70 proc. zysku operacyjnego EBITDA LIFO całej Grupy ORLEN. Zyski wzrosły również w segmentach: energetycznym, rafineryjnym i detalicznym.

Bezspornie spółka zawdzięcza swoją silną pozycję – zgodnie z deklaracjami analityków rynku paliw – konsekwentnie realizowanej strategii obecnego zarządu spółki.

eprasa.pl e740969244

Fot. Adobe Stock

ORLEN i jego spółki zależne to multienergetyczny koncern, największy w Polsce dostawca gazu, paliw płynnych i energii. Grupa posiada rafinerie w Polsce, Czechach i na Litwie oraz sieć stacji paliw w siedmiu krajach Europy Środkowej. Jest największym producentem ropy naftowej i gazu ziemnego w kraju i rozwija segment petrochemiczny oraz energetyczny, w tym w oparciu o odnawialne źródła energii. Planuje też rozwój energetyki jądrowej opartej na małych modułowych reaktorach SMR.

Zarządu, który w całości otrzymał absolutorium.

ORLEN w ubiegłym roku stawiał na inwestycje rozwojowe. Kosztowały one ok. 32 miliardy złotych, jednak dzięki nim koncern zaczyna się liczyć nie tylko na rynku paliw – ma również coraz większe znaczenie na europejskim rynku energii odnawialnej. To właśnie tu bije serce najważniejszych bałtyckich inwestycji, m.in. morskich farm wiatrowych, które stają się dumą polskiej energetyki.

Warto zauważyć, że z morskiej farmy wiatrowej Baltic Power pierwsze megawatogodziny energii popłyną już w przyszłym roku. Obecnie trwają zaawansowane prace związane z przygotowaniem do instalacji turbin i kabli morskich. Ponadto otwarta została kompleksowa i nowoczesna baza serwisowa w Łebie, która wspiera realizację inwestycji i umożliwi jej efektywne serwisowanie w całym około 30-letnim cyklu życia.

Projekty odważne i potrzebne

ORLEN rozwija także drugi projekt Baltic East o mocy 1 GW, sąsiadujący z koncesją Baltic Power. Procedura wydania decyzji środowiskowej dla tej inwestycji jest już na zaawansowanym etapie. Koncern prowadzi także dialog z potencjalnymi dostawcami, co pozwoli maksymalnie wykorzystać local content przy tej inwestycji.

Spółka koncentruje się ponadto na zwiększaniu wydobycia gazu, rozwoju nisko- i zeroemisyjnej energetyki oraz na rozwoju paliw alternatywnych.

To przede wszystkim projekty CCGT w Ostrołęce i Grudziądzu, które zostały wykonane w 90 proc., a ich zakończenie jest planowane w 2026 roku. W przygotowaniu są kolejne inwestycje – CCGT Grudziądz II i CCGT Gdańsk – do uzupełniającej aukcji rynku mocy, która odbędzie się już w sierpniu, oraz CCGT Siekierki do aukcji głównej, która zostanie zorganizowana w grudniu.

Spółka prowadzi też na dużą skalę modernizację sieci energetycznych w północnej i środkowej Polsce. Na ten cel pozyskano preferencyjne finansowanie 7,5 mld zł z KPO. Od początku roku przyłączone zostało 300 MW OZE, zrealizowano i zmodernizowano 400 km sieci energetycznych, a tylko w pierwszym kwartale br. na obszarze objętym przez Energa Operator przyłączonych zostało ponad 12 tys. nowych odbiorców.

Koncern planuje również rozwinąć swoją ofertę detaliczną.

Tylko w tym roku na inwestycje rozwojowe gigant multienergetyczny przeznaczy ponad 35 mld złotych.

Zarząd z mniejszym wynagrodzeniem

Pomimo świetnych wyników i bezprecedensowej dywidendy w spółce są także zmiany w obszarze wynagrodzeń zarządu spółki. Tu zaskoczenie – pomimo świetnych wyników władze ORLENU będą zarabiały mniej.

Wynagrodzenia prezesa i pozostałych członków zarządu ORLEN zostaną obniżone o ok. 13 proc. względem dotychczas obowiązujących zasad.

Uchwały dotyczące wysokości wynagrodzenia członków rady nadzorczej oraz zasady kształtowania wynagradzania członków zarządu były rozpatrywane na końcu posiedzenia, które odbyło się w czwartek, 5 czerwca.

Artykuł powstał we współpracy z ORLEN SA.

eprasa.pl e740969244

AUTORYTARNY DRYF Unii Europejskiej

Marcin Darmas

Siedziba Parlamentu Europejskiego w Strasburgu sprawia wrażenie niedokończonej budowli za sprawą atrapy rusztowań na szczycie budynku

Fot. pixabay

Michel Barnier to republikański urzędnik starej daty, który nie boi się herkulesowych wyzwań. Politykę uprawia z quasi-donkiszotowskim powołaniem. Brał się za projekty trudne, jak choćby obywatelska organizacja igrzysk olimpijskich w Albertville w 1992 roku albo takie, których wszyscy inni się obawiali. Barnier był przecież głównym negocjatorem do spraw opuszczania Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię. A po zeszłorocznym

eprasa.pl e740969244

rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego przez Emmanuela Macrona Barnier przyjął propozycję stworzenia rządu. Premierem był krótko, zaledwie kilka miesięcy. Niemniej za prawicowym politykiem wciąż ciągnie się renoma świetnego mediatora i sprawcy nieoczywistych konsensusów, potrafiącego łączyć stanowiska i szukać nietuzinkowych rozwiązań. O swojej politycznej drodze Barnier opowiada w ostatnio wydanej książce pod tytułem „Czego się od was nauczyłem?".

W stu trzydziestu minikronikach polityk dzieli się anegdotami, swoją fascynacją gaullizmem, przekonuje do swoich wizji suwerennej Francji i Europy narodów. Niezwykle ciekawe okazują się portrety „wielkich tego świata". Będący obecnie na politycznej ławce rezerwowej, Barnier wydaje się rozzuchwalony możliwością swobodnej wypowiedzi. Nie szczędzi gorzkich słów pod adresem Ursuli von der Leyen, z którą ściśle współpracował w Komisji Europejskiej. Co ciekawe, niemiecka polityk z uznaniem przyjęła nominacje na premierowski urząd i publicznie chwaliła wybór Barniera na nowego lokatora Pałacu Matignon. Niemniej między Barnierem a von der Leyen nie ma nici porozumienia. Różnią się w kwestiach, by tak rzec, fundamentalnych. Francuz oskarża między innymi przewodniczącą Komisji Europejskiej o „autorytarny dryf". Opisuje kierowaną przez nią instytucję jako „nieprzejrzystą supertechnokrację". To nie koniec. Według byłego głównego negocjatora brexitu w brukselskim establishmencie nie istnieją żadne demokratyczne bezpieczniki.

Po opuszczeniu Pałacu Matignon Michel Barnier nie wahał się publicznie skrytykować przewodniczącej Komisji Europejskiej. Pod koniec lutego na paryskich targach rolniczych Michel Barnier otwarcie zajął stanowisko przeciwko tzw. „normatywnej inflacji" forsowanej przez Ursulę von der Leyen. „Nie podobało mi się, że w dniu upadku mojego rządu spieszyła się, by podpisać tę umowę" – opisuje francuski polityk, odnosząc się do umowy między Mercosurem a Unią Europejską.

Co ciekawe, obie postacie należą do tej samej rodziny politycznej. Niemniej od zakończenia negocjacji w sprawie brexitu między nimi zapanował pewien chłód. Michel Barnier zapobiegł zawarciu umowy, która poświęciła europejskich rybaków w zamian za umowę handlową ze Zjednoczonym Królestwem.

Za granicą książka wywołuje ożywioną dyskusję. Niemiecki „Berliner Zeitung", zwraca uwagę na patologie unijnego zarządzania, na „brak przejrzystości, koncentrację uprawnień, styl rządzenia oparty na garstce najbardziej lojalnych oraz taktycznych manewrach". Niemiecka gazeta stwierdza, że były minister, jako znawca unijnych labiryntów władzy, „krytykuje regulacyjną gorączkę Brukseli i powolność procesu integracji rynku kapitałowego". Te dwa punkty Barnier widzi jak główne niepowodzenia obecnej Komisji pod wodzą von der Leyen.

go wyboru wbrew traktatom europejskim". Niemka dobrze przyswoiła antydemokratyczną frazeologię. Na kilka dni przed włoskimi wyborami parlamentarnymi we wrześniu 2022 r., próbując zastraszyć Włochów i naprowadzić ich z powrotem na „właściwą drogę", powiedziała: „Jeśli sprawy pójdą w złym kierunku, jak na Węgrzech w i Polsce, posiadamy odpowiednie instrumenty, aby sobie poradzić".

Brukselska wieża Babel

Szklany cylinder Parlamentu Europejskiego w Strasbourgu sprawia wrażenie niedokończonej budowli. Mamy do czynienia z pewnego rodzaju estetyczną kanonizacją niedookreśloności, wizualnym podkreśleniem trwającego procesu, czegoś, co nigdy nie krzepnie w definitywnym kształcie. Gmach pomyślano tak, żeby pomieścił jeszcze wiele państw. Z zewnątrz jego wygląd jest mylący. Albowiem na szczycie cylindra znajduje się atrapa rusztowań, a w środku zaś mrowisko stalowych garniturów ciągnących we wszystkie strony. Jedna z najbardziej

FRANCUZ OSKARŻA MIĘDZY INNYMI PRZEWODNICZĄCĄ KOMISJI EUROPEJSKIEJ O „AUTORYTARNY DRYF". OPISUJE KIEROWANĄ PRZEZ NIĄ INSTYTUCJĘ JAKO „NIEPRZEJRZYSTĄ SUPERTECHNOKRACJĘ".

Należy podkreślić, że antydemokratyczne derywacje Unii Europejskiej zostały zainicjowane przez Jean-Claude'a Junckera. Kto jeszcze pamięta wypowiedź byłego szefa komisji z 2015 roku? Gdy w Grecji doszła do władzy Syriza, Luksemburczyk oświadczył bez kozery: „nie może być demokratyczne-

charakterystycznych budowli Unii Europejskiej sprawia wrażenie konstrukcji myśli ulegających szybkiej dezaktualizacji, na domiar – jakby świadomie. Europę, niczym stal, która była jednym z jej źródeł i budulców, można do woli ugniatać, ostudzić, potem znów rozgrzać i formować do woli.

eprasa.pl e740969244

Polityczny projekt Europy czerpie swoją przemożną siłę z niedookreśloności, z pojemności swoich ambicji; wpierw unii węglowej, później interesów, wolności poruszania się czy płacenia tą samą walutą. Ta niedookreśloność europejska jest jednak pozorna. Im więcej mówią o niej jej piewcy i – co tu dużo kryć – ci, których Unia Europejska karmi, tym mniej się jej wierzy.

Historycznie prawdziwymi pomysłodawcami Europy byli francuscy i niemieccy chadecy. Dziwi zatem, że patronami sal plenarnych budynków administracji europejskiej są takie postacie jak Richard Coudenhove-Kalergi, Alcide de Gaspieri czy Altieri Spinelli. Któż pamięta tych gentlemanów? Kroniki świata odnotowały innych pomysłodawców i praktyków europejskiej integracji: Charles'a de Gaulle'a i Konrada Adenauera oraz ich pomocników – Roberta Schumana i Jeana Monneta. Triumfują jednak dzisiaj inni, co znamienne, anonimowi patroni korytarzy, zaułków i sal. Autorzy manifestów o budowaniu paneuropy wolnej od sporów i konfliktów, bez wojennogennych państw narodowych, bez krwiożerczego kapitalizmu i redukujących poszczególne i partykularne tożsamości kultur. Drugi szereg europejskich entuzjastów nie był zainteresowany demokracją. Tendencje te dzisiaj osobliwie odżywają.

Nie ma w tych stwierdzeniach przesady. Wystarczy zacytować „Manifest z Ventotene" Spinellego: „Nieograniczona suwerenność państw narodowych spowodowała chęć dominacji nad innymi, domagając się coraz większej przestrzeni życiowej, terytoriów, na których mogły się swobodnie przemieszczać i zapewniać sobie środki do zasadniczo autonomicznej egzystencji". Wolność jest gwałcona przez narodowe ideologie – twierdził włoski utopista. I dodawał, że jednostka w kręgu tożsamości narodowej nie może być suwerenna. Natomiast objęta jest uciemiężającą kuratelą, a kobieta została zredukowana do „bydła płodnego", które wydaje na świat żołnierzy oddających życie w imię sakralizowanego państwa. Dążąc do centralizacji i samowystarczalności, państwa narodowe naturalnie kroczą ku totalitaryzmowi, któremu obca jest synergia sił i kooperacja w ramach większego agregatu państw. Autorzy Manifestu uznali, że państwo narodowe jest ściśle połączone z dążeniami imperialnymi, rozpychaniem przestrzeni życiowej, a stąd już tylko krok do idealizowania nie tylko militaryzmu, ale i rasy...

z nurtem – socjalistycznym i liberalno-demokratycznym – przydaje każdemu intelektualiście ważności. Czuje się on bowiem częścią wielkiego procesu ulepszającego świat; on sam zaś nie tylko lepiej od innych rozumie ten proces i nie tylko wie, jak najlepiej świat urządzić, ale nadto, patrząc na otaczającą go rzeczywistość, może łatwo zdiagnozować, które zjawiska, wspólnoty, instytucje znikną – a jeśli nie znikną, to należy je zlikwidować dla dobra przyszłości – i dlatego odnosi się

TRYUMF „SUPERTECHNOKRACJI", O KTÓREJ PISZĄ ZARÓWNO LEGUTKO, JAK I BARNIER, TO ZAPOWIEDŹ CIĘŻKICH CZASÓW. NADZIEJĘ NALEŻY ULOKOWAĆ W BUNCIE TYTUŁOWEGO „CZŁOWIEKA POSPOLITEGO"...

Lekcja krakowska

Funkcjonowanie Unii Europejskiej z bliska obserwował jako parlamentarzysta Ryszard Legutko. Dla krakowskiego profesora, znawcy Sokratesa i Platona, brukselskie doświadczenie okazało się nie lada zaskoczeniem. Parlament nie okazał się miejscem ścierania się wizji. Wręcz przeciwnie – demokraci debaty nie szanują, a liberałowie wolność chętnie ograniczają ustawami o „mowie nienawiści". Europa Zachodnia, do której aspirowaliśmy duszą, sercem i rozumem, okazała się w wielu aspektach podobna do Europy pod butem rosyjskiego komunizmu.

W „Tryumfie człowieka pospolitego" Legutko stara się prześledzić analogiczne elementy dwóch rzeczywistości w szponach ideologii. Chociażby „stadne myślenie" intelektualistów charakteryzujące zarówno komunizm, jak i demokrację liberalną: „Płynięcie

z gniewnym politowaniem do wszystkich chcących czas zatrzymać. Oddaje się więc ulubionemu zajęciu młodzieńca, czyli krytyce tego, co jest, w imię tego, co się stanie, a czego mało pojętna, lecz niestety spora cześć ludzkości jeszcze nie dostrzega".

Inna, intrygująca analogia, to chęć regulacji wszystkich aspektów ludzkiego funkcjonowania. Zarówno jeden, jak i drugi system lubuje się w tworzeniu coraz to nowszych praw, definicji, ograniczeń. To prawodawstwo jest w większości zbędne z punktu widzenia obywateli, lecz niezbędne z perspektywy struktur europejskich. „Ono bowiem potwierdza ich władztwo – pisze Legutko – niezależnie od realnych skutków". Tryumf „supertechnokracji", o której piszą zarówno Legutko, jak i Barnier, to zapowiedź ciężkich czasów. Nadzieję należy ulokować w buncie tytułowego „człowieka pospolitego"...

eprasa.pl e740969244

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

W poszukiwaniu Najwyższego Przywódcy

Jan Wróbel

Iran miewał w Polsce swoje „pięć minut” zainteresowania. Pierwszy raz jeszcze za komuny, kiedy szyicka rewolucja konserwatywna obaliła prozachodni reżim Mohammada Rezy Pahlawiego. Telewizja Polska (?) tamtych czasów potrafiła sporo uwagi poświęcać sprawom zagranicznym, a omawianie wydarzeń zagranicznych niosło zwykle więcej ciekawych treści niż refleksje na temat realizacji planu gospodarczego. Nie było łatwo nadać relacjom z Iranu ideologiczny format. Rewolucja, islam, mudżahedini ludowi (niby komuniści, ale zbyt mało powiązani z Moskwą, by być „dobrzy”), konserwatyzm mas, walka z imperializmem amerykańskim, no, bądź tu mądry, kogo ma popierać telewizyjne ramię PRL. Pisano też o Iranie ciekawie; wiśnią na torcie był „Szachinszach” Ryszarda Kapuścińskiego. Konsekwentny bój tamtejszej opozycji z dyktaturą miał moc.

Iran pojawił się ponownie – jako karykatura polskiej prawicy w latach 90. W pierwszych sporach o wartość życia poczętego strona proaborcyjna zarzucała prawicy, że ta chce nad Wisłą drugiego Iranu – reżimu ajatollahów, tylko jakby katolickich. „Iran” bywał też poręczny we wszelkich dyskusjach dotyczących kształtu szkolnictwa, kultury patriarchatu, cenzury obyczajowej itd. Mało miały te zestawienia sensu, ale, bądźmy szczerzy, nonsens w politycznej refleksji nie został wymyślony dopiero w dobie internetu.

Potem zainteresowanie ojczyzną szyitów spadło. Okazjonalnie temat wracał w relacjach podróżników i podróżniczek (niezmiennie podkreślano uderzającą gościnność), ale chyba można zaryzykować tezę, że nasz stosunek do Iranu uległ zachodniej standaryzacji. Oj, tak, piękny kraj, ale tłamszący liberalne prądy i prawa kobiet. Wyjątkiem było środowisko odradzającej się młodzieży narodowo-katolickiej. Odradzane, jakby ktoś nie pamiętał, przez młodziutkiego Romana Giertycha (niedługo potem stanie się on młodym, lecz głośnym ministrem edukacji).

Cóż takiego ciekawego widziano w tym środowisku w Iranie? Próbę pożenienia demokracji z gorsetem miłych prawicy ograniczeń płynących z religii. Owszem, mamy wybory, ale rada ajatollachów, nie z wyborów przecież, koryguje prawo wymyślane przez parlament. A Najwyższy Przywódca (taki jakby prymas) koryguje decyzje rządu i prezydenta. W rezultacie życie polityczne, ale i prawne oraz społeczne Iranu jest poniekąd podwójne. Wolnościowe z jednej, pilnowane z drugiej strony.

> „DRUGI IRAN” BYWAŁ PORĘCZNY W SPORACH Z PRAWICĄ. MAŁO MIAŁY TE ZESTAWIENIA SENSU, ALE, BĄDŹMY SZCZERZY, NONSENS W POLITYCZNEJ REFLEKSJI NIE ZOSTAŁ WYMYŚLONY DOPIERO W DOBIE INTERNETU.

Prawdę mówiąc, w Polsce ostatnich lat można bez trudu zauważyć, jak wielu przegrywających marzy o Iranie. Nie dosłownie, ale... Gdyby mianowicie atoli dało się tak jakoś zrobić, żeby wybory były, niech sobie są. Tyle że gdyby np. wybory wygrał ktoś, kto no po prostu obiektywnie źle służyłby Polsce i Polakom, to by można by takie wybory korygować. Dzięki jakiemuś naszemu (oczywiście, że naszemu!) Najwyższemu Przywódcy.

eprasa.pl e740969244

Niemcy są technofobiczne

– Niemcy są liberalni obyczajowo i konserwatywni gospodarczo. Nasz przemysł wciąż jest w stanie wytwarzać poważne produkty. Ale to nie ustawia nas już w pierwszym rzędzie najbardziej innowacyjnych gospodarek – mówi **Wolfgang Münchau**, autor książki „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego", w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. M. Żegliński

– Czy Niemcy są niewolnikami swojej dawnej potęgi gospodarczej?

– Niezupełnie, nasza gospodarka przez dekady dobrze się rozwijała, Niemcy byli zadowoleni i nie przewidzieli, że może się to skończyć. Ten kraj odniósł sukces, a ludzie sukcesu często popełniają błędy i myślą, że wszystko, co robią, jest dobre, ale to nieprawda. Niemcy odnieśli sukces z kilku bardzo konkretnych powodów, byliśmy liderami w inżynierii, produkcji, przemyśle motoryzacyjnym. Ale zmieniła się gospodarka, technologia stała się bardziej cyfrowa. Niemcy w to nie inwestowali, są uwięzieni we własnym świecie. Dodatkowo tak ustawili gospodarkę, że mają nadwyżki w porównaniu z resztą świata. Byliśmy tak skoncentrowani na eksporcie, że w końcu jedynym sposobem na zarabianie pieniędzy było posiadanie nadwyżek. Eksport przewyższał import. Państwo miało dużo oszczędności krajowych, ale nie inwestowało wystarczająco, więc gospodarka odniosła sukces, ale był to raczej chory sukces, który stawał się coraz trudniejszy do utrzymania, ponieważ gospodarka stawała się coraz bardziej niezrównoważona i teraz jesteśmy w sytuacji stagnacji. Mamy strukturalny spadek od dłuższego czasu.

– Pisze Pan, że państwo oferowało ogromne wsparcie dla przemysłu, ale nie dla start-upów. Jaki jest powód lęku przed nowymi technologiami?

– Tak, przeważa u nas stare myślenie na temat polityki przemysłowej. Nasze elity polityczno-biznesowe nie myślą o AI, o technologiach cyfrowych. Przecież samochód elektryczny nie jest tym samym samochodem, co samochód spalinowy. To po prostu inny produkt. Samochód elektryczny jest jak urządzenie cyfrowe. To w swojej istocie urządzenie cyfrowe z kółkami. Nazywam go iPadem z kółkami. Produkcja samochodów elektrycznych to cały cyfrowy łańcuch dostaw. Sukces leży w oprogramowaniu, nie w firmach inżynieryjnych. Niemcy tego nie dostrzegli. Produkcja oparta na nowych cyfrowych technologiach bardzo różni się od firm opartych na tradycyjnym przemyśle. Oznacza to, że musisz zmienić produkt, naturę, łańcuch dostaw produktu i firmę. Mówimy o przemyśle samochodowym, ale są jeszcze inne branże, które

eprasa.pl e740969244

mają podobne problemy. Piszę o tym od dłuższego czasu. Kiedy Niemcy zajmowali się inżynierią, Amerykanie zaczynali od Google'a i Amazona.

– Czy kultura organizacyjna Niemiec nie przypomina trochę kultury Arabii Saudyjskiej, z tą różnicą, że tam wszystko oparte jest na ropie, a w Niemczech na przestarzałym przemyśle?

– W Arabii Saudyjskiej mają bardzo konserwatywne społeczeństwo, ale są otwarci na nowe technologie. Rządzący w Arabii Saudyjskiej mówią, że ropa w pewnym momencie się skończy i stawiają na nowoczesne technologie i przyszłościowe gałęzie gospodarki. Niemcy są liberalni obyczajowo i konserwatywni gospodarczo. Mają umiejętności, które są nadal ważne. Nasz przemysł wciąż jest w stanie wytwarzać poważne produkty. Ale to nie ustawia nas w pierwszym rzędzie najbardziej innowacyjnych gospodarek. Chiny też mają takie umiejętności, z tym że ich skala jest o wiele większa. Ponadto Chiny są lepiej przygotowane, by przenieść przemysł na wyższy poziom, dysponują sztuczną inteligencją. Niemcy, jeżeli chcą kontynuować strategię skoncentrowaną na przemyśle, muszą ją radykalnie przemodelować. Nasz przemysł potrzebuje AI, nowej polityki energetycznej, centrów danych, infrastruktury cyfrowej, infrastruktury mobilnej, ale także światłowodów. Do tego potrzebna jest reforma systemu finansowego.

– Niemiecki rynek finansowy jest niekonkurencyjny i skostniały.

– To duży problem. Wszystkie nowoczesne inwestycje w Ameryce nie zostały zrealizowane przez banki, ale przez rynki akcji, rynki kapitałowe. Niemcy nie mają rynków kapitałowych, a wielkie inwestycje w nowoczesne centra danych nie mogą być realizowane przez banki. Google, Amazon to produkty rynku finansowego, a nie banków. Amerykańskie banki zajmują się kredytami hipotecznymi, pożyczkami dla małych firm, ale nie finansują ryzykownych inwestycji w nową generację AI.

– Twierdzi Pan, że Niemcy to kraj technofobii i cyfrowego zacofania.

– Cóż, tak niestety jest. Niemcy mojej młodości były w pewnym sensie nowoczesne. Nie cyfrowe, ale nowoczesne. Niemcy w dzisiejszych czasach mają telefony komórkowe, oglądają filmy na TikToku, ale kraj jako całość nie jest w awangardzie rewolucji IT. AI nie jest niemiecką specjalnością. Co więcej, widzę wiele kulturowego sprzeciwu wobec nowych technologii. Każdy kraj ma swoich konserwatystów. Polska jest krajem konserwatywnym, ale konserwatyści w Polsce są otwarci na technologie. Niemieccy konserwatyści gospodarczy nie lubią nowych technologii, choć wiedzą, że muszą to zmienić. Dlatego zajmie to trochę czasu. My nadal nie zdigitalizowaliśmy sektora publicznego, nasza administracja publiczna nie jest w pełni cyfrowa. Dużo narzekamy na nowy merkantylizm, który dominuje w gospodarce.

– Wyjaśnijmy to, w książce to ważny temat.

– Nowoczesny merkantylizm, neomerkantylizm, polega na przewadze eksportu nad importem, dążeniu do tego, by twoje firmy stały się silne na rynkach globalnych. I to nie rząd generuje zyski, ale firmy. Firmy te są jednocześnie zmuszone do zawierania umów z rządem, aby zapewnić miejsca pracy i utrzymanie produkcji w Niemczech. Zasadniczo jest to więc kolejna forma zarządzanego odgórnie handlu. Eksportujemy więcej niż importujemy, ale to staje się coraz trudniejsze do utrzymania. Poza tym nie uważam, aby było to moralne, ponieważ jeśli masz nadwyżkę, ktoś musi mieć deficyt. Moja nadwyżka handlowa to twój deficyt handlowy. Zatem moje argumenty są takie, że to nie jest moralne i nie może być utrzymane. Trump podnosi cła, kursy walutowe rosną. Teraz Chiny grają w tę samą grę co my. Oni też są merkantylistami, również eksportują więcej, niż importują – ale cały świat nie może działać w ten sposób, nie wszyscy mogą żyć na nadwyżkach eksportowych. My jesteśmy słabszą stroną w tym układzie. Potrzebny jest bardziej zrównoważony model, który opiera się na większej konsumpcji i inwestycjach krajowych. Nie mówię, że Niemcy powinny przestać eksportować – ale powinny dywersyfikować swoją gospodarkę. Zamiast podwajać wysiłki w tym, co już robiły, powinny zainwestować w AI, rozwijać nowoczesny rynek finansowy. On jest kluczowy. Gdybym miał wskazać jedną rzecz, powiedziałbym: skupcie się na finansach. Banki nie dostarczają innowacyjnego finansowania.

> Konserwatyści w Polsce **są otwarci** na technologie. Niemieccy konserwatyści gospodarczy nie lubią nowych technologii, choć wiedzą, że muszą to zmienić.

– Jaki jest największy problem niemieckiego modelu gospodarczego?

– Jest zbyt sztywny, zbyt konserwatywny i oparty na konsensusie. Konsensus oznacza, że wszyscy zgadzają się na jeden model, zamiast rywalizować i wprowadzać innowacje. Właśnie dlatego niemiecki przemysł samochodowy źle ocenił przyszłość samochodów elektrycznych.

Wolfgang Münchau jest niemieckim dziennikarzem ekonomicznym. Pracował jako korespondent biznesowy w „Financial Times", był współzałożycielem „Financial Times Deutschland". Autor wielu publikacji ekonomicznych.

eprasa.pl e740969244

KULTURA

Czytaj też:
„Intersection”. Ważne pytania w nieludzkim świecie 52

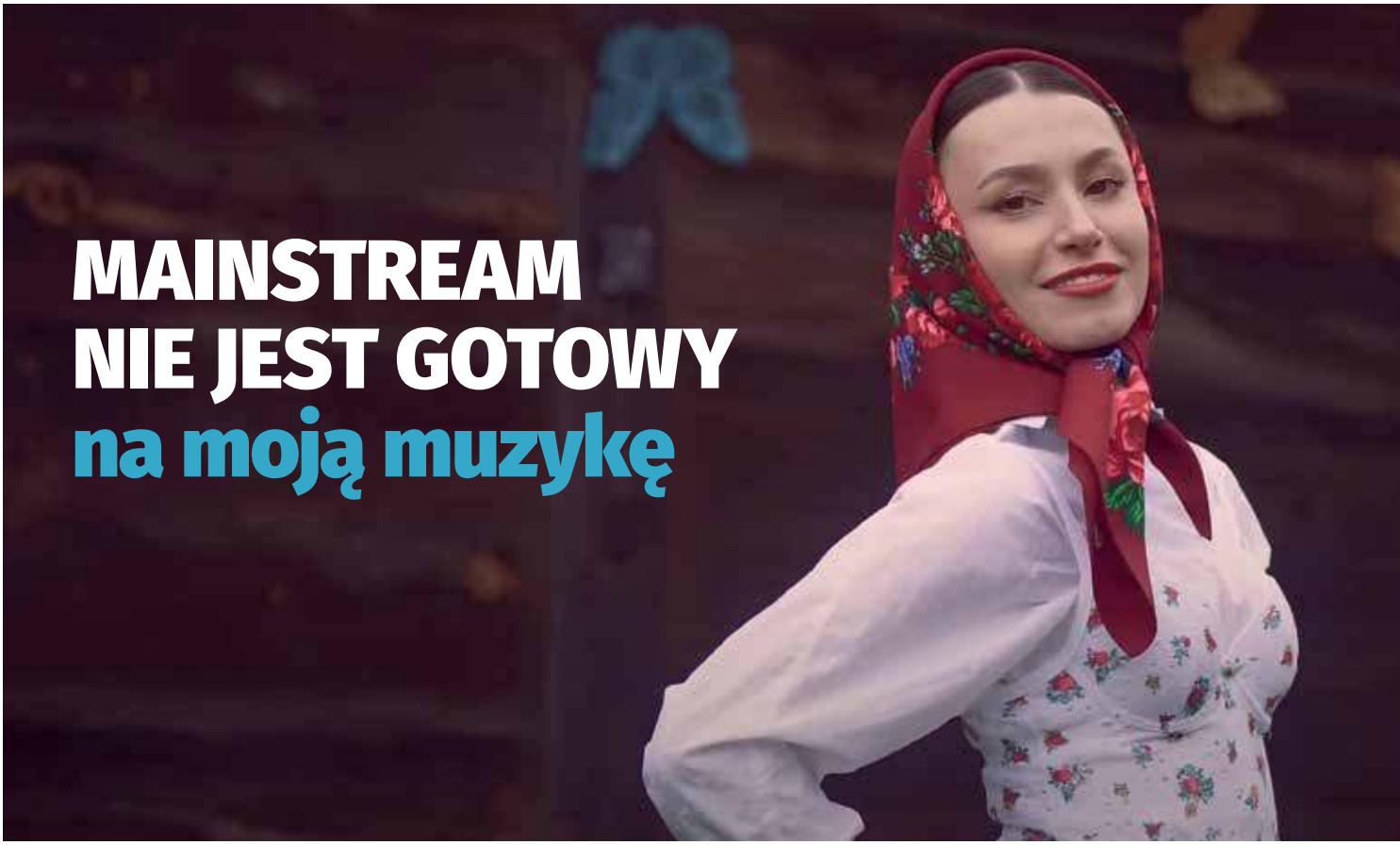

MAINSTREAM NIE JEST GOTOWY na moją muzykę

– Jestem konkretna w każdym calu. Nie narzekam. Bardzo doceniam to, co mam. Dużo pracowałam, żeby znaleźć się w tym miejscu, w którym obecnie jestem. Osiągnęłam to przy pomocy osób, które za mną stoją, wspierają mnie. To jest bardzo ważne, żeby każdego doceniać. Nikt mi też niczego nie dał za darmo – mówi **Diiya**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Jak znajdujesz czas na wszystkie Twoje aktywności?
– Jest bardzo ciężko, ale daję radę. Dodatkowo jeszcze studiuję.

– Jaki kierunek?
– Praca socjalna. Lubię pomagać innym.

– Twój altruizm przekłada się na pracę i na życie?
– Zdecydowanie tak.

– Praca socjalna to był Twój pierwszy wybór kierunku studiów czy miałaś alternatywę?
– Były psychologia, socjologia. Nie dostałam się na te kierunki. Praca socjalna to był mój drugi wybór, ale nie zmieniłabym swojej decyzji, ponieważ ten kierunek studiów bardzo mi się podoba.

– Na którym roku jesteś?
– Na drugim. W trybie stacjonarnym. Podjęłam studia, zanim zaczęła się rozwijać moja kariera muzyczna. Jakbym miała

eprasa.pl e740969244

Diiya to piosenkarka o niesamowitej sile głosu, pochodząca z serca Podkarpacia. **Łączy nowoczesne brzmienia z duszą muzyki folkowej**. Czerpiąc inspiracje ze swojego dzieciństwa, wnosi na scenę unikalny i autentyczny głos. Jej odważne brzmienie i głęboka więź z korzeniami przeniosą Cię w jej świat.

Fot. arch.

teraz wybierać, to zdecydowałabym się na tryb zaoczny, ale jest już za późno. Wcześniej nie miałam pieniędzy na studia zaoczne, dlatego poszłam na studia dzienne [śmiech].

– Zawsze byłaś taka energiczna?
– Zdecydowanie tak. Miałam dobre oceny i dobre zachowanie w szkole.

– W przeciwieństwie do mnie. Dużo gadałem, bo mi się nudziło na lekcjach.
– Zdarza się i tak [śmiech].

– Kto wpadł na pomysł, żeby połączyć rap, trap i folk w Twojej twórczości?
– To był mój pomysł i nie będę ukrywała, że algorytmy w sieci polubiły taką kombinację gatunków muzycznych. Od jakiegoś czasu na TikToku dodawałam słowiańskie, folkowe covery różnych utworów i ludziom się to podobało. Za każdym razem kolejna interpretacja szybowała w górę i trafiała do coraz większej grupy odbiorców. Ludzie mówili mi, żebym nagrywała autorskie utwory w tym stylu. Wraz z moim sztabem Igą i Filipem z Young World wzięliśmy sobie rady naszych słuchaczy do serca i zrobiliśmy to.

– Diiya zawsze była Diiyą czy miałaś wcześniej inne wcielenia artystyczne?
– Miałam. Już tych piosenek nie ma w sieci z przyczyn niezależnych ode mnie. To było synthwave pop. Miałam inną stylizację wizualną.

– Masz obecnie konkurencję?
– Ciężko powiedzieć, jednak po głębszym zastanowieniu stwierdzam, że nie mam i nie czuję zagrożenia. Chociaż są wykonawcy, którzy tworzą podobną muzykę do mnie.

– Dlaczego nie współpracujesz z dużą wytwórnią płytową?
– Nie lubię robić rzeczy, których nie czuję. Wiem, że z wieloma artystami jest tak, że jak nawet czegoś nie czują, to i tak muszą to zrobić, bo tego oczekuje wytwórnia. U mnie tak nie jest. Nikt mnie do niczego nie zmusza.

– Ile Diiyi jest w Klaudii, a ile Klaudii jest w Diiyi?
– To jedna i ta sama postać. Prywatnie ze znajomymi jestem taka sama jak na scenie.

– Koncerty są dla Ciebie wysiłkiem fizycznym czy masz jeszcze czas na ćwiczenia?
– Nie są. Ostatnio jak miałam koncert w Gorlicach, trwający ponad godzinę, zeszłam ze sceny i od razu poszłam do ludzi zrobić sobie z nimi zdjęcia. Mój booker koncertowy Mateusz zapytał się, czy nie potrzebuję odpoczynku, powiedziałam mu, że dam radę [śmiech].

– Robienie zdjęć z fanami nie trwa dłużej niż koncert?
– Bywa i tak. W przypadku Gorlic było po równo.

– Twoja twórczość jest spójna z Twoją osobowością?
– Jak najbardziej. Zawsze taka byłam, jestem i zdecydowanie będę. Jestem konkretna w każdym calu. Nie narzekam. Bardzo doceniam to, co mam. Dużo pracowałam, żeby znaleźć się w tym miejscu, w którym obecnie jestem. Osiągnęłam to przy pomocy Igi, Filipa i wielu innych osób, które za mną stoją i wspierają mnie w różnych działaniach. To jest bardzo ważne, żeby każdego doceniać. Nikt mi też niczego nie dał za darmo.

WIELE POPULARNYCH OSÓB POCHODZI Z MAŁYCH MIEJSCOWOŚCI I WSI.

– Dlaczego nie ma Ciebie w głównym nurcie pomimo tego, że jesteś bardzo popularna w internecie?
– Szczerze? To wyszło samo z siebie. Wydaje mi się, że mainstream nie jest jeszcze do końca gotowy na moją muzykę.

– Kto jest odbiorcą Twojej muzyki?
– To może być każdy. Zarówno bardzo młoda, jak i starsza osoba.

eprasa.pl e740969244

Diiya

to charyzmatyczna artystka, której muzyczna droga zaczęła się w Korczowej, małej wiosce na Podkarpaciu. Klaudia Opoka od dziecka kształciła się w grze na fortepianie, jednak jej prawdziwą pasją stał się śpiew. Wokalistka miłość do muzyki pokazywała, mając zaledwie 11 lat. Wtedy już publikowała w internecie swoje wersje najbardziej znanych utworów. Stworzyła cover hitu Bajmu, Dawida Podsiadły, Lady Gagi, Davida Guetty czy Beyoncé. Przez lata występowała w lokalnym zespole ludowym, prezentując tradycyjną polską muzykę na festiwalach i wydarzeniach kulturalnych. Razem z tatą nagrywała i publikowała covery na YouTubie, ale to okres pandemii stał się przełomowym momentem – zaczęła regularnie udostępniać swoje wykonania na TikToku. Jej autentyczność doceniło już ponad 500 tysięcy fanów.

– Byłabyś w stanie poprowadzić lekcję muzyki dla uczniów szkoły podstawowej?
– Byłabym.

– I co byłoby na takiej lekcji?
– Na pewno różniłaby się od tradycyjnej lekcji muzyki, gdzie się śpiewa i gra na flecie. I przez pryzmat tego uczniowie są oceniani. Poświęciłabym uwagę wrażliwości danego ucznia i skupiłabym się na tym, w czym czuje się on najlepiej.

– Na jakim instrumencie grasz?
– Na pianinie.

– Komponujesz czy wyłącznie śpiewasz?
– Piszę teksty, wymyślam melodie.

– Estetyka, w której obecnie tworzysz, jest etapem przejściowym Twojej kariery?
– Nie wiem, co przyniesie los. Nie zamierzam się szufladkować. Na pewno nie planuję odchodzić od tego nurtu, chciałabym w nim pozostać na dłużej.

– Co poza muzyką i studiami?
– Aktorstwo. Odnalazłabym się jako osoba grająca czarne charaktery.

– Zasięgi i liczby ponad wszystko. Zgadzasz się z tą tezą?
– To jest bardzo zgubne. Niektórzy uzależniają swoją działalność od liczb. Jest to zrozumiałe, ale trzeba oczyścić z tego głowę. Trzeba myśleć o tym, co nam sprawia przyjemność.

– Jak odpoczywasz po tak intensywnych działaniach. Jeżeli w ogóle masz wolny czas.
– Tak. Mam wolny czas.

– Co wtedy robisz?
– Modlę się. Jestem bardzo wierzącą osobą i modlitwa mi pomaga.

– To jest bardzo odważna deklaracja jak na biznes, w którym funkcjonujesz.
– Wiem, ale nie wstydzę się tego. Wiem, że Bóg mi dużo pomógł i wiele Mu zawdzięczam. Zawsze mogę na Niego liczyć.

– Twój Anioł Stróż Cię wspiera czy ma z Ciebie bekę?
– Jedno i drugie [śmiech]! Dodaje mi skrzydeł.

– Jesteś doskonałą ambasadorką swoich poglądów.
– Możliwe, możliwe.

– Skąd jesteś?
– Korczowa, województwo podkarpackie.

– Twoje pochodzenie ukształtowało Twoją osobowość?
– Możliwe. Mam bardzo dobre wspomnienia związane z moją wsią. Wiele popularnych osób pochodzi z małych miejscowości i wsi.

– Nagrywasz disco polo?
– Nie stygmatyzuję disco polo. To muzyka jak każda inna. Nie robię jej jednak i nie będę robić.

– Osiągnęłabyś większy sukces, gdybyś była wokalistką disco polo?
– Możliwe. Spotkałam się z sugestią, że będę miała większe liczby, jeśli pójdę w disco polo. Jednak mnie to nie przekonuje.

– W jakiej muzyce byś się nie odnalazła?
– W jazzie.

– A rap?
– Dlaczego nie. W wielu moich utworach rapuję.

– Mierzysz się z krtyką?
– Oczywiście, że tak. Jest konstruktywna krytyka, którą przyjmuję do serca. Ale jest też bezpodstawna. Krytykują dla sportu i tym się trudnią głównie starsi odbiorcy.

eprasa.pl e740969244

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

SANAH - DWOJE LUDZIEŃKÓW
WYD. MAGIC RECORDS

Wiele mądrych głów zastanawia się nad tym, jak przekonać młodych ludzi do poezji. Podkładanie książek pod nos nie jest dobrym pomysłem. Nagle cała na biało wchodzi Sanah i mówi edukatorom, żeby potrzymali jej piwo. Oto jest kolejna płyta z polską poezją, na której wokalistce towarzyszą artyści wnoszący dużo jakości w utwory. Kompozycje wpadające w ucho podkreślają walory liryczne poezji wybitnych pisarzy. Doskonała lekcja języka polskiego zarówno dla młodszych, jak i starszych. To się nazywa edukacja. O taką promocję polskiej poezji – jak to się mówi – nic nie robiłem. A płytę polecam!

PAWEŁ DOMAGAŁA - HOTELOWE PIOSENKI
WYD. DOMAGAŁA-BOROWIECKI

Paweł po raz kolejny rozkocha w swoich piosenkach polskie kobiety. Jest subtelnie, jest oszczędnie, co sprawia, że melodie będą gładko wchodzić do głowy. Teksty o miłości, radościach i smutkach na pewno znajdą przychylnych odbiorców. To nie jest płyta, która od pierwszej do ostatniej minuty dostarcza Ci olbrzymi ładunek adrenaliny i mocy. Jestem bardzo zaskoczony produkcją w takim stopniu, że przy wielu kawałkach bujała mi się głowa. Jeżeli to idzie w tę stronę, to chyba będę kibicem Domagały. No, tego to się nie spodziewałem.

PALUCH X CHRIS CARSON - PCC 2.5
WYD. BIURO OCHRONY RAPU

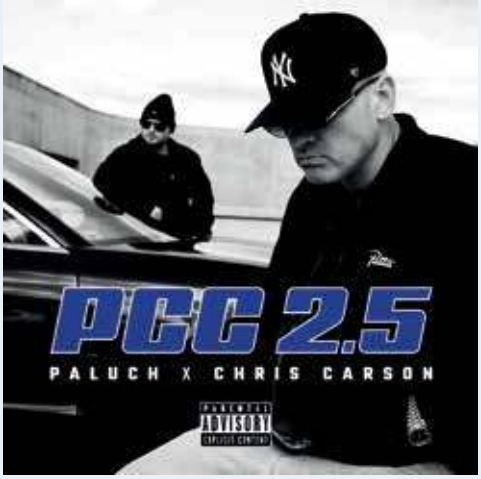

Jestem pozytywnie zaskoczony. Od kilku płyt Paluch w żaden sposób mnie zaskakiwał. Przyzwyczaił słuchaczy do swojej strefy komfortu, w której urządził się jak król. A tu nagle wchodzi Chris Carson i wydobywa z rapera to, co jest najlepsze. Czuję ducha starszych produkcji, które były świeże w polskiej rapgrze. Krążek, choć tylko 29-minutowy, potwierdza, jaką wagę ma solidny i zdolny producent. Może stworzyć takie podkłady, że nawijający jest odkurzony i odświeżony. Ponad 20 lat w branży, jak to podkreśla Paluch na płycie, zatem życzę kolejnych 20 lat z formą jak na tym wydawnictwie. Co Ty na to, Paluch?

ARCADE FIRE - PINK ELEPHANT
WYD. ARCADE FIRE MUSIC

Po instrumentalnym początku idziemy w głąb piosenek Arcade Fire. I co tam znajdujemy? Zespół, który chce rozpędzić się na muzycznej autostradzie, ale ma zaciągnięty hamulec. W trakcie odsłuchu czułem energię tak na połowę swoich możliwości. Grupa na koncertach potrafi dać niezapomniane przedstawienie, ale na płycie jest mocno oszczędnie. Duch mocy próbuje się wydobyć. Może ukaże się na kolejnych płytach? A może pozostanie wyłącznie na scenie? Pożyjemy, zobaczymy.

eprasa.pl e740969244

FILM

„Intersection”. Ważne pytania w nieludzkim świecie

Krzysztof Karnkowski

Jeśli chatGPT nie koloryzuje przesadnie, odpowiadając na zadane mu pytanie, w modelach AI, które prowadzą rozmowy indywidualne, ponad połowa użytkowników dąży do nawiązania jakiejś formy „personalnego kontaktu”. Spośród nich ok. 25–30% szuka kontaktu opartego na emocjonalnym ciepłe (przyjacielskim, terapeutycznym, „comfort AI”), a kolejne 15–20% eksploruje relacje romantyczno-erotyczne (bardzo szerokie spektrum). Można być pewnym, że zjawisko to **będzie narastać** w miarę upowszechniania się rozmaitych form sztucznej inteligencji. A skoro tak, to pojawiające się od lat w popkulturze pytania o nasze wzajemne relacje z tym wytworem postępu stają się coraz bardziej palące.

Odpowiedzi na te pytania w swej twórczości szukają od lat reżyser i scenarzysta Adam Nowak oraz scenarzysta Marek Nowak, autor „Tygodnika Solidarność”. Wcześniej zajmowali się nimi w trylogii, na którą złożyły się trzy filmy krótkometrażowe – „(Nie)Sprawna”, „Jestem tu” i „Demiurg”. Każdy z nich od trochę innej strony opisywał kwestię relacji ludzi i idealnie już podobnych do nich androidów w świecie, w którym pozorne rozwiązanie wszystkich problemów staje się zarzewiem buntu – masowego lub indywidualnego – i konfliktów społecznych. Teraz przyszła kolej na pełnometrażową produkcję „Intersection”, zaprezentowaną w czerwcu na festiwalu „Młodzi i Film” w Koszalinie. Wcześniej film pokazany został również na przeglądzie „Kino na Granicy”.

Maszyny i ludzie

„Intersection” to historia, której głównym bohaterem jest Amadeusz (Sebastian Cybulski), samotny mężczyzna przechodzący bardzo poważny kryzys. Poznajemy go w chwili śmierci jego ukochanej córki, w kolejnej scenie traci pracę. Z pracy zwalnia go android – i tu rysuje się znany z wcześniejszych produkcji konflikt. Maszyny, które miały być pomocą, powodują wyśrubowanie standardów, narzucenie tempa pracy robotów, czynią ludzi zbyt powolnymi, a w ostatecznym rozrachunku niepotrzebnymi elementami rynku pracy. Tak narasta bunt żywych. Ale i androidy, w których stopniowo odtworzyła się ludzka świadomość, zaczynają czuć

eprasa.pl e740969244

Fot. kadr z filmu

się źle. Obok ludzkich obowiązków dostają również szczątkowe, lecz coraz dojrzalsze emocje i uczucia, nie mają natomiast żadnych ludzkich praw, których zresztą w pewnym wymiarze wcześniej pozbawiły, bez własnej woli, ludzi. W tym właśnie Marek Nowak widzi odrębność filmu od poruszającej ten temat klasyki science fiction. – W klasycznym SF – mówi Nowak – androidy występują albo jako projekcie lęku – zabiją nas, zabiorą nam pracę itd. – albo marzenia – przypomną nam, co znaczy być człowiekiem. Mi trochę zależało, żeby nie wchodząc w ten spór, pokazać, że jeśli androidy zabiorą nam pracę, to tylko dlatego, że LUDZIE zaprojektują tak system.

Jest to też świat, w którym oglądamy kulminację trwającego już procesu zastąpienia imperatywu szczęścia przez imperatyw sukcesu. Zjawisko to zostało opisane przez polską socjolog Magdalenę Szpunar w bliskiej spojrzeniu Marka Nowaka publikacji „Kultura cyfrowego narcyzmu".

Światy równoległe

Oczywiście problem zatrudnienia to tylko jeden z dwóch punktów wyjścia. Utrata córki jest oczywiście czynnikiem ważniejszym, determinującym wszelkie późniejsze wybory bohatera, a zarazem tematem bardziej uniwersalnym i ponadczasowym. W ostatnim numerze „TS" opublikowałem tekst o psychologicznych technikach radzenia sobie ze stratą. Do klasycznych metod z koncepcji Elisabeth Kübler-Ross (przypomnijmy, są to: zaprzeczenie, złość, targowanie się, depresja i akceptacja) dochodzi w nowym świecie metoda: cyfrowe oszustwo. Już w jednym z odcinków „Black Mirror" bohaterka mogła odgrywać całość małżeńskiego życia ze zmarłym mężem, a raczej jego idealnie wymodelowaną kopią. Amadeusz, główny bohater „Intersection", może widzieć hologram córki i odtwarzać swoje wspomnienia. Wkrótce dowie się jednak, że jest szansa, by pójść dużo, dużo dalej. Świat bowiem może mieć wiele rozgałęzień, co – nim jeszcze dowiemy się więcej – sugerowane jest przez rozwiązania wizualne polegające na mnożeniu postaci. Jeden Amadeusz wstaje, inny siada, jeden w szpitalu dostaje dobrą, drugi najgorszą wiadomość, a po pierwszym, nieudanym spotkaniu rekrutacyjnym rozchodzi się w wielu postaciach na różne strony świata.

MAREK NOWAK: „JEŚLI ANDROIDY ZABIORĄ NAM PRACĘ, TO TYLKO DLATEGO, ŻE LUDZIE ZAPROJEKTUJĄ TAK SYSTEM".

Pytania w zimnych barwach

Strona wizualna filmu to jeden z jego mocnych atutów. Dzisiejsza postprodukcja pozwala na wiele, również wtedy, gdy chce się wejść w science fiction. Początkowo jest chłodna, jak pokazany w nim świat. Kolorystyka przywołuje na myśl klimat reklam firm, oferujących najnowsze technologie, co idealnie współgra z pokazaną rzeczywistością, którą kontrolują wielkie korporacje, dostarczające światu ludzi przejmujące go maszyny. Później zmienia się otoczenie, a nawet sposób prowadzenia narracji. Dzieje się to, gdy bohater w poszukiwaniu pracy dociera do miejsca swego przeznaczenia, posiadłości żyjącego w otoczeniu androidów miliardera Antoniego Dominusa (Tomasz Sobczak). Tam ma wziąć udział w eksperymencie, którego nazwa daje tytuł całemu obrazowi. W nieznane prowadzi go tajemnicza córka Dominusa, Ewa (Agnieszka Kawiorska), a jej obecność i zachowanie mnożą pytania o relacje dwóch wynikających z siebie światów. Wracają też wspomnienia, wyrzuty sumienia, niepewność, czy na pewno dobrze Arkadiusz wykorzystał swój czas? To nie są nowe kwestie, lecz to wcale nie czyni ich mniej istotnymi. – To, że ktoś wcześniej w kinie czy literaturze stawiał już podobne pytania, które też stawiają nasze produkcje, nie oznacza, że one straciły na aktualności. Przeciwnie, zaryzykuję nawet stwierdzenie, że ten tekst, który powstał w 2022 roku, biorąc pod uwagę dzisiejsze czasy i ich lęki – technologiczne bezrobocie, zastępowanie ludzi przez AI, późny kapitalizm, który pozbawia ludzi najcenniejszej rzeczy, czyli czasu na spędzanie go z bliskimi – jest dziś jeszcze bardziej aktualny – mówi Marek Nowak.

Kino gatunkowe wciąż traktowane jest u nas po macoszemu. Nie jest to dobra wróżba dla opisywanego przez nas filmu, ale może jeszcze coś się tu zmieni. Jeśli nie w naszej rzeczywistości, to w którymś z jej alternatywnych odbić.

„Intersection", twórcy: Adam Nowak, Marek Nowak, reżyseria: Adam Nowak, obsada: Sebastian Cybulski, Agnieszka Kawiorska, Tomasz Sobczak, gatunek: dramat, science fiction, produkcja: Polska 2024.

eprasa.pl e740969244

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Starej taśmy zgrzyt

„Moda retro" dziś oznacza powrót do estetyki i gadżetów lat 90. Czy jest to też znak tęsknoty za ówczesną materialnością i wyrazistymi tożsamościami?

PRL ogromnie łatwo jest wspominać, przynajmniej za pomocą środków muzealnych. Trzydzieści, czterdzieści (i więcej) lat to idealny dystans, by wszystko się spatynowało, dosłownie i przenośni. Skok cywilizacyjny był tak ogromny, że właściwie każdy przedmiot może być nie tylko pamiątką, ale i osobliwością. „To naprawdę były takie telewizory?"; „Mieliście grzebienie w TAKICH kolorach?"; „Więc TO nazywaliście proszkiem do prania?" – padają pytania. Ludzie marzący o odpowiadaniu na takie pytania są naprawdę w komfortowej sytuacji w porównaniu z mediewistami, którym wypada zgromadzić przynajmniej jakieś przyłbice, pergaminy, a przynajmniej cegły palcówki, toteż osoby przedsiębiorcze korzystają z tego bez skrupułów. Podróżując trochę po Polsce, zwiedziłem co najmniej pół tuzina przybytków, określanych szumnie jako „Muzeum PRL".

Nie przypadkiem, myślę, położone są one głównie w miejscowościach turystycznych, na deptaku lub w przyrynku, tuż obok escape roomu, kolekcji narzędzi tortur oraz wystawy jadowitych pająków. Tak, sarkazm w moim tekście jest nieudawany: to współczesny odpowiednik „kobiety z brodą" i karuzeli na łańcuchach, przedostatni krąg jarmarcznej rozrywki. W dusznych pokojach czekają na nas zwykle wydrukowane ze zdjęcia kopie kartek na mięso, tekturowy kask ORMO, sznurkowa siatka i wyciągnięta z pamiątek po wuju nieczytelna ulotka KPN (zresztą po uważnym spojrzeniu – z kampanii wyborczej 1993 roku). Jeśli trafiliśmy do przybytku klasy lux – możemy liczyć jeszcze na drzwiczki od trabanta, znalezione przez kustosza na wysypisku. I piszę o tym z żalem i pretensją – bo takie podejście zamienia 40 lat historii, 40 lat opresji politycznej, ale też odwagi i tworzenia, całą epokę w dziejach narodu – w panopticum złożone z brudnobeżowych miseczek i żeliwnych grzałek, rupieciarnię, w której można przez trzy minuty pochichotać i pójść dalej.

„Najntisy Forever!" są wystawą zupełnie innej miary. Nie przez estetykę: pstrokacizny jest tam więcej niż nawet na największych jarmarkach czy Cepeliadach Polski Ludowej, błękit krzyżuje się z wściekłym różem, glossy paper – z brokatem. Poznańska ekspozycja pokazuje bowiem początek lat 90. z perspektywy nastoletnich zwykle (choć nie tylko...) konsumentów popkultury i jej nowych nośników: kolorowych

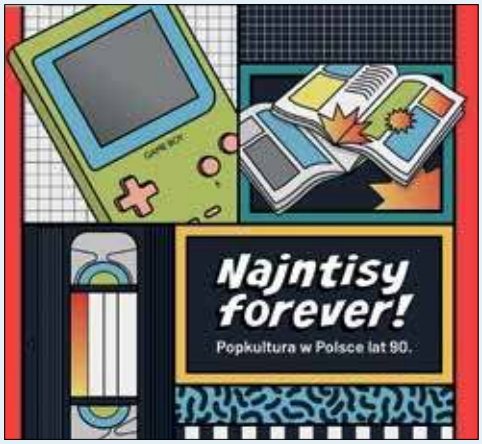

pisemek dla nastolatków, gier komputerowych (i ich bohaterów), filmów na taśmach VCR (wraz z odtwarzaczami) i przede wszystkim, najsilniej reprezentowanych, kaset magnetofonowych – wraz z „jamnikami" i walkmanami. Konia z rzędem każdemu po czterdziestce, kto wśród blisko 150 okładek kaset nie znajdzie przynajmniej trzech, które sam miał kiedyś w swojej kolekcji!

To bardzo szczególny punkt widzenia: pokazanie przemian lat 90. nie z perspektywy transformacji politycznej (Okrągły Stół, wybory prezydenckie, parlament z 1993 roku), nie – gospodarczej (plan Balcerowicza, Jeffrey Sachs, bezrobocie, wyprzedaże fabryk i „nowe kariery" w marketingu i w reklamie), nawet nie – konsumpcyjnej (zawrót głowy od obfitości serów, wędlin, napojów i słodyczy w kolorowych opakowaniach – cóż, jeśli w dwóch ostatnich kategoriach królował junk food!). Nie: to próba odtworzenia świata, który oferował nowe środki przekazu (walkman, wideo), nowe treści, nową estetykę, a wreszcie – widok nowego świata: to, co „zachodnie" (filmy z Indianą Jonesem i koncerty Vaya con Dios), choć nie było jeszcze całkiem „nasze" (kurs dolara był równie solidną zaporą, co dopiero znoszone wizy), nie było już „zza kurtyny": było obietnicą, światem na wyciągnięcie ręki.

Oczywiście, tych sto kilkadziesiąt szczękających pudełek z przezroczystego, choć kruchego plastiku (a dla młodszych – lalki Cindy i Barbie, pierwsze zestawy Lego i legion He-Manów) jest doskonałym zapalnikiem, który spowoduje eksplozję indywidualnej nostalgii. Bo przecież – pomyśli każdy zwiedzający 40+ – to nasza młodość, tak niezrównana, zachwycająca, zabrana bezpowrotnie. I widać, jak zwiedzający starsi wiekiem wzruszają się nieproporcjonalnie często, patrząc na okładki Kultu i Bajmu. Nie melodię przecież wspominają

eprasa.pl e740969244

ci szpakowaci goście, lecz to, co się z nią wiąże: tamten wieczór, tamte wakacje. Dodajmy, że prezentowane zbiory są też materialnym dowodem siły tej nostalgii: kaset ani plastikowych figurek nie gromadziły przecież 30 lat temu ani muzea, ani antykwariaty, mamy i babcie chętnie pozbywały się ich z domu, bo plastik lubi kurz. To, że te obiekty przetrwały, to świadectwo prywatnej wierności. A młodzi, których na „Najntisach" też nie brakuje, mają uciechę z nieprawdopodobnie topornych technologii: widok kaseciaka z zacinającą się pokrywą, skaczącej kanciasto figurki złożonej z kilkunastu pikseli jest równie pocieszny, co sceny ze skansenu starych samochodów.

Organizatorzy wystawy chcą nas jednak, gdy już otrzemy łzę wzruszenia, zaprowadzić jeszcze o krok dalej, zastanowić się wspólnie nad fenomenem nostalgii rozciągającej się poza albumik ze zdjęciami i pamiętniczek z wakacji. Widać, że przerobili solidnie lekcję Svetlany Boym, młodo zmarłej filozofki kultury, która jako pierwsza wzięła na warsztat nostalgię jako fenomen społeczny: zbiorowe, dzielone między ludźmi poczucie przywiązania do dawnych, bezpiecznych czasów, które już nie wrócą, połączenie realnej pamięci i fantazjowania o tym, co było, nieraz – buntu wobec nowoczesności.

Boym odwoływała się do konkretnego doświadczenia, które w pewnym sensie większość polskich czterdziestokilkulatków z nią dzieli: była emigrantką ze schyłkowych Sowietów, która odniosła fantastyczny sukces w Stanach. Innymi słowy, doświadczyła nie tylko wspólnego wszystkim ludziom „osuwania się w czasie", ale też schyłku, a następnie rozpadu jednej cywilizacji materialnej (sowieckiej) i smakowania drugiej, będącej 30 lat temu w swoim rozkwicie (amerykańskiej). To doświadczenie bliskie, w różnym stopniu, wielu milionom ludzi, od Albanii po Kazachstan, którzy patrzą – zdumieni – na zetlałe koce, zardzewiałe czajniki i kruszący się tynk ścian: a więc w takim świecie żyliśmy? I co przyszło potem?

To „potem", tak nowe u swojego początku, skończyło się jeszcze szybciej. Kurator wystawy zwraca uwagę, że za symboliczny koniec epoki „najntisów" można uznać pojawienie się w 1999 roku Napstera, czyli pierwszego serwisu internetowego oferującego muzykę „z sieci", a nie z fizycznego nośnika, jakim jest kaseta. Co z początku było nowinką, stało się fundamentem nowego, cyfrowego świata. Dlatego też nie tylko my, tutejsi, możemy smakować tę wystawę: przybysze ze Stanów mogą podśmiewać się trochę na widok pierwszych numerów polskiej edycji „Bravo" i „Vivy!", ale z tą samą nostalgią wspominają czasy, w których materia nie kapitulowała przed wirtualem. Kurator przywołuje w pewnym momencie byłego rapera Vanillę Ice, który lata 90. opisywał jako „ostatnią prawdziwą dekadę" – i ten punkt widzenia nie jest odosobniony.

Poznańska wystawa, choć nie ma takich ambicji, może się okazać celnym komentarzem do dokonującej się współcześnie przemiany w gustach wyborców, od Polski po Stany: może to, co nieobiektywni komentatorzy określają mianem „zwrotu w prawo", jest po prostu zwrotem w stronę nostalgii, w stronę tęsknoty za ładem i stałością?

„NAJNTISY FOREVER!", Centrum Kultury Zamek, ul. Święty Marcin 80/82, Poznań; 22 marca – 27 lipca br., kurator Tomasz Żaglewski.

MASZYNA DO RYSOWANIA KARNKOWSKI

eprasa.pl e740969244

JA, OJCIEC

Ludwik Pęzioł

Skoro na co dzień moja córeczka nie schodzi z piedestału, tekst z okazji Dnia Ojca **bezwstydnie** poświęcę samemu sobie.

Moja córka jest już „na zewnątrz" od ponad stu dni. Mimo że miałem sporo czasu, by przywyknąć do roli ojca, wciąż czuję się z tą tożsamością raczej nieswojo. To pojęcie niesie ze sobą mnóstwo skojarzeń – osobistych, religijnych, cywilizacyjnych – i znacznie wykracza poza suchy opis relacji czy odpowiedzialności. „Ojciec" to słowo kowadło. A jednak historia mojego ojcostwa rozwija się po swojemu – nie powielając wszystkich tych kalek i archetypów. Rozwija się niespodziewanie. Już od pierwszych, dość ekscentrycznych rozdziałów.

Spisek hormonów

Zawsze uważałem „myślenie spiskowe" za ułomność – sposób na uproszczenie złożonych spraw,

eprasa.pl e740969244

Fot. Adobe Stock

prowadzący do intelektualnego obciachu. Raczej nie ulegam takim pokusom. Ale jeśli już jakiś spisek sobie uroiłem, to trzymam się go mocno i nie daję sobie przemówić do rozsądku. Tak było po porodzie, przy którym towarzyszyłem mojej żonie. Wszystko działo się w słynnej „Świętej Zofii". Dla kogoś, kto szpitale zna głównie z podkarpackich koszmarów, sale porodowe najlepszej położniczej placówki w Warszawie wydawały się niemal pałacowymi komnatami. Kolorowe, pełne udogodnień i „ułatwiaczy" – a jednak to właśnie tam rozgrywa się prawdziwa gehenna.

Całą noc miałem w głowie surowe słowa z Księgi Rodzaju: „Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci". Mówienie o tym, jak facet czuje się podczas porodu, może brzmieć śmiesznie – bo to przecież kobieta ponosi cały trud i ból. Ale po czasie mogę bez skrępowania przyznać: mężczyzna też swoje wtedy przeżywa. Zalewa go adrenalina. Współczuje. Niepokoi się. W momentach kryzysowych dopada go frustracja, którą trudno porównać z czymkolwiek innym. Po porodzie mężczyzna zostaje przytłoczony tym, co się właśnie wydarzyło. Tymczasem żona – jakby zrzuciła cały balast jednym ruchem – nagle promienieje radością. I co najdziwniejsze: wspomina poród jako... dobry. Jak to możliwe? Po kilkunastu godzinach męczarni (które przecież odbijały się też trochę na mnie) słyszę, że „to nie było nic takiego"? No nie. Ja zapamiętałem to inaczej!

I wtedy – w przebłysku myśli – pojawia się wyjaśnienie. Spisek hormonów. Bo przecież gdyby kobiety naprawdę pamiętały, przez co przeszły, nie zapisałyby się na kolejną sesję tortur. To byłoby niebezpieczne dla przetrwania gatunku. Tak więc biedna niewiasta zostaje oszukana w szczytnym celu, a obserwator jej nagłej przemiany może tylko podziwiać iluzjonistyczny kunszt biologii.

ROZWÓJ MOJEJ CÓRKI JAWI MI SIĘ JAKO DZIKI ŻYWIOŁ, COŚ, CO MNIE PRZYTŁACZA I POCHŁANIA.

Kupa jest the best

Rodzice uwielbiają absolutyzować swoje doświadczenia i dzielić się nimi z osobami dopiero czekającymi na dziecko. Najczęściej powtarzaną mądrością, którą słyszałem od znajomych ojców, było: „Zobaczysz, teraz wszystko się zmieni". To zdanie – niemal identycznie wypowiadane przez różne osoby w różnych momentach – brzmiało jak nieuniknione prawo natury. Mimo tej powtarzalności długo nie dawałem mu wiary. Dopuszczałem jednak, że może to ja wypieram nieuchronną rewolucję. Że po prostu nie mam ochoty na zmianę i dlatego w nią nie wierzę. Ale kiedy na świecie pojawiła się moja córka – nic się nie wywróciło. Przynajmniej nie tak, jak mnie straszono. Może to dlatego, że zdążyłem się już „wyszaleć". Nie żałowałem dawnych ekscesów, ale też za nimi nie tęskniłem. Od dawna dobrze mi było w cieple nudnego, stabilnego konserwatyzmu. I, co ważniejsze, psychicznie przygotowywałem się na ojcostwo przez wiele miesięcy. Dziecko nie stało się więc w moim życiu elementem wywrotowym. Raczej – dopełniającym.

Na początku dominowały sprawy praktyczne. Psychologia, duchowość, ciekawość badawcza – to wszystko dopiero raczkowało. A jednak, ku mojemu zaskoczeniu, nawet ta codzienna praktyka okazała się ciekawa. Piotrusiowie Panowie i dumne emancypantki czasem drwią, że życie świeżo upieczonych rodziców sprowadza

eprasa.pl e740969244

się do wdychania pierdów i tańczenia wokół kupy. I mają rację. Bo taniec wokół kupy naprawdę się odbywa – i to z pełną ekstazą. Ale czciciele beztroskiej samorealizacji nie rozumieją tej kupy.

Bo jeśli twoje dziecko nie może się załatwić przez kilka dni, jeśli widać, że cierpi – to donośny dźwięk zwiastujący nadejście mitycznego „Ragnaröku" staje się dźwiękiem wybawienia. To znak, że męka się kończy, że znów można oddychać – ono i ty razem z nim. To czysta radość z ulgi ukochanego człowieka. Gdyby więc ktoś postawił przede mną wybór: wielkomiejska samorealizacja niebieskiego ptaka czy kupa – bez wahania wybieram kupę.

GDYBY KTOŚ POSTAWIŁ PRZEDE MNĄ WYBÓR: WIELKOMIEJSKA SAMOREALIZACJA NIEBIESKIEGO PTAKA CZY KUPA – BEZ WAHANIA WYBIERAM KUPĘ.

Choćby 30% planu

Niektórzy scenarzyści i reżyserzy filmowi twierdzą, że jeśli uda im się zrealizować choćby 30% tego, co zapisali na papierze – to już można mówić o artystycznym sukcesie. Przyjmuję tę zasadę z ulgą. Po pierwsze – bo mi wygodnie. Po drugie – bo pomaga trzymać na dystans pułapki perfekcjonizmu. Ale jaki właściwie jest ten mój wychowaczy „plan", z którego choćby 30% warto byłoby zrealizować?

Zanim jeszcze pomyślałem o kwestiach praktycznych, pojawiło się pytanie o wartości. Pierwsza rzecz: nie chciałbym, żeby moja córka dała się wciągnąć w materialistyczną filozofię współczesnego świata. Bo jeśli to się stanie, to tak, jakby przegrać wszystko – zgubić ducha, zostać pustą skorupą. Postanowione więc: odwodzę ją od tej drogi. Wiem, że to oznacza otwartą wojnę z panującą epoką. Jednak wypowiedzenie wojny duchowi czasu zostało już ogłoszone. I albo padnę ja, albo on.

Po drugie – chciałbym, żeby centrum całego wychowania była miłość. Nie szacunek. Nie zaradność. Nie posłuszeństwo. Miłość – w najgłębszym sensie tego słowa. Może to zabrzmi buńczucznie, ale jestem przekonany, że obsadzenie dowolnej innej wartość w roli głównej kończy się katastrofą. Jeśli wszechświat to zimna, bezlitosna machina, to miłość jest jedynym płomieniem, przy którym można się ogrzać. Bez niej nie warto ożywiać czegokolwiek.

Mam więc plan. Mam instrukcję. I przemożne przekonanie o ich słuszności. Pozostaje tylko zrealizować te 30%.

Moje przerażenie

W filmach przyrodniczych czasem pokazują scenę, w której na plaży z jaj wylęgają się małe żółwie i pędzą w stronę oceanu. Część z nich ginie w szponach i dziobach drapieżnych ptaków – to pierwsza selekcja. I zawsze robi to na mnie wrażenie: te stworzenia, choć świeżo urodzone, już zostały wyposażone w masę umiejętności. A potem przychodzi refleksja – jak bardzo u swych początków bezradny jest w porównaniu z nimi mały człowiek.

Mimo to, gdy moja córka zaczęła podejmować pierwsze próby działania – jak niezgrabne chwytanie maskotki Muminka – ogarnęło mnie coś z pogranicza zachwytu i lęku. Jej rozwój jawi mi się jako dziki żywioł, coś, co mnie przytłacza i pochłania. Mam wrażenie, że wystarczy, żebym wyjechał na kilka dni w delegację, a przegapię jakiś przełom – na przykład ewolucję chwytu z małpiego w nożycowy – i potem już nie zrozumiem skali zmiany. Będę się tylko obwiniał, że nie nadążałem. Bo choć rozwój człowieka jest jednym z najwolniejszych w przyrodzie, jego tempo i tak potrafi przytłoczyć rodzica. A przecież podobno z czasem staje się jeszcze szybszy – wykładniczy. Długi okres inkubacji, a potem... majstrowanie przy bombie atomowej – taki właśnie jest nasz gatunek.

WĄTPLIWOŚCI CO DO TEGO, ŻE MOJA CÓRKA PRZEŚCIGNIE MNIE WE WSZYSTKIM – NIE MAM ABSOLUTNIE ŻADNYCH.

Tak więc wątpliwości co do tego, że moja córka prześcignie mnie we wszystkim – nie mam absolutnie żadnych, choć nie będę miał do niej pretensji, jeśli tego nie zrobi.

eprasa.pl e740969244

Fot. Zbyszek Kaczmarek / Forum

Kiecka a sprawa polska

Zagotowało się: Marta Nawrocka, już jako Pierwsza Dama in spe, ubrała się dwa razy w tę samą sukienkę, co zostało jej wypomniane w mediach przez niejaką Martę Rodzik, ekspertkę ds. wizerunku i public relations.

Monika Małkowska

Oważ określiła ten incydent mianem „niestosownego". Podobny niesmak wzbudził w znawczyni także całus złożony na policzku żony przez Karola Nawrockiego.

Niezajeżdżalne

No tak – Eva „Evita" Perón w czasie publicznych występów nigdy nie założyła dwukrotnie tego samego kostiumu, a często zmieniała je trzy, nawet cztery razy dziennie. W najgorętszym dniu potrafiła narzucić na siebie wspaniałe futro z norek, kochała kreacje od Diora i pantofle Ferragamo. Słowem, uosabiała prezydencki glamour, do którego daleko naszej przyszłej prezydentowej z powodów finansowych. Jednak wiadomo – pani Nawrocka będzie podglądana i „rozbierana" przez znawców dress code'u w każdej sytuacji, bo... jest atrakcyjną kobietą. Albowiem tylko powabne damy ze społecznego świecznika są kuszącym obiektem dla paparazzich wszelkiej maści. Aparycję Anny Komorowskiej jakoś pomijano dyskretnym milczeniem... Również na Barbarę Bush, pomimo jej licznych zasług, fotoreporterzy nie kierowali zbyt często obiektywów. O urodzie gospodiny Chruszczowej nie ma co wspominać – standard sowiecki, choć podobno była to całkiem bystra i oczytana kobieta,

eprasa.pl e740969244

przy tym oddana żona Nikity, któremu prała, gotowała i gwarantowała domowe ciepełko. Ale zewnętrznie jej walory przywodziły na myśl wdzięk ZiŁ-a, opancerzonego samochodu dla radzieckich dygnitarzy.

Co innego Carla Bruni, piękna jak ferrari, piosenkarka i ex-supermodelka, od 2008 roku żona Nicolasa Sarkozy'ego (wiem, teraz jego nazwisko kiepsko się kojarzy), która swe fotowizerunki liczy w milionach. Z jej fotodokumentacją mogłaby konkurować chyba tylko księżna Di, gdyby nie zakończyła życia w kwiecie wieku (przez fotograficznych szpiegów zresztą). Wczesne zejście nie grozi „pierwszej babci Francji", jak złośliwcy nazywają Brigitte Trogneux, od 2007 roku małżonkę Emmanuela Macrona, starszą od prezydenta Republiki Francuskiej o 24 lata. Ten model ma tradycje i kształty szlachetne jak peugeot, świetne nogi, ale… plotki głoszą, że to facet po tranzycji płciowej. Podobne spiskowe teorie o zmianie płci dotyczą superkobiecej Michelle Obamy, pierwszej nie-białej first lady w USA (jak ford – może być w każdym kolorze, byle czarnym) – co już było wystarczającym powodem, by świat koncentrował uwagę na jej wyglądzie.

PEJORATYWNE OPINIE WIĘCEJ MÓWIĄ O NASZYM SPOŁECZEŃSTWIE NIŻ APROBATA. PRZEBIJA W NICH ODLEGŁE OD OBIEKTYWIZMU „SZUKANIE DZIURY W CAŁYM", ODZWIERCIEDLAJĄCE SYMPATIE POLITYCZNE.

Pierwsze w obiektywie

Cofnijmy się o kilkadziesiąt lat. W międzywojniu na polskim podwórku, a raczej na salonach i w błyskach fleszy, brylowała Maria Mościcka, pierwsza dama, choć druga żona Ignacego Mościckiego. Pierwsza polska przedwojenna prezydentowa, która wyraźnie lubiła reprezentacyjną rolę. Dwukrotnie młodsza od prezydenta, zresztą wyjątkowo przystojnego mężczyzny (i także namiętnego imprezowicza), wykazywała się znakomitym wyczuciem stylu, co przekładało się na wielokrotnie jej przyznawany tytuł królowej balu (a chętnie balowała). To była epoka, kiedy tylko podczas oficjalnych sytuacji można było robić zdjęcia osobom z socjety. Toteż nie bardzo wiadomo, jak ponętna prezydentowa wyglądała w domowych pieleszach – żaden fotograf nie ośmieliłby się jej uwieczniać bez stosownej kreacji, fryzury i makijażu, a nade wszystko, bez jej wiedzy! Zawód paparazzi jeszcze nie istniał, w prywatnych okolicznościach żony głów państwa nie musiały dbać o… wygląd swoich głów. A skoro o tym mowa: Agata Kornhauser-Duda, powszechnie chwalona za ubraniową „klasyczną klasę", po latach wierności krótkiej fryzurze zapuściła włosy! Teraz nosi dłuższego boba, choć nadal w jasnoblond odcieniu. Ale jeśli chodzi o tytuł arbitra elegancji w kategorii pierwsza dama, to w III RP palmę pierwszeństwa dzierży Jolanta Kwaśniewska, „prezydentowa serc", od lat uważana za najlepszą polską pierwszą damę. Wizualnie nie mogły z nią konkurować ani jej następczyni Maria Kaczyńska, ani poprzedniczka Danuta Wałęsa – obydwie zbyt skromne i „niewyględne", żeby wyznaczały standardy elegancji. Anna Komorowska stanowiła zaprzeczenie szyku, za to Agata Duda na jej tle wzniosła się na Himalaje świadomego outfitu. Marta Nawrocka ma potencjał: zgrabną sylwetkę, charakterną buzię, sprężyste ruchy i intuicyjną niechęć do przewalonych kreacji.

Jak ona wiesza pranie?

Na jej widok tłum na wiecach przedwyborczych skandował: „Pierwsza Dama, Pierwsza Dama!", choć jeszcze nią nie była. Znaczy – ludzie polubili ją, uznali jej prezencję za godną prezydentowej. Ale to tylko akcelerowało ataki przeciwników Karola Nawrockiego, którzy dla deprecjacji prawicowego kandydata, a obecnie prezydenta elekta, nie cofali się przed niczym. Hejtowano ją za wszystko – odruchy czułości wobec męża (i vice versa), wychowanie córeczki, ba! nawet rozwieszanie prania na balkonie okazało się czynnością naganną. Wypomniano jej również przeszłość i wczesne macierzyństwo. Na szczęście Marta Nawrocka to twarda sztuka. Szybko oswoiła się z grzebaniem w jej życiorysie i nieustannym fotograficznym szpiegostwem. Jak opowiadała, od pewnego czasu jest śledzona przez pewną fotografkę, do której na tyle się przyzwyczaiła, że ma ochotę „wyjść do niej z kawą".

W efekcie tych fotopodchodów na panią Nawrocką spadła fala krytykanctwa ze strony rozmaitej maści fashonistów, szafiarek, tiktokowych stylistów i innych ekspertów od ciuchów.

Czy jej stylizacje są godne pierwszej damy? Jeden z tiktokowych specjalistów uznał, że przyszła first lady ma jeszcze sporo do nadrobienia. Sztuczna biżuteria – wtopa; długość czy bardziej krótkość spódnic – nie do przyjęcia; sneakersy do spodni cygaretek i żakietu w stylu Chanell – masakra; różowy kolor – błeee, wygląda się „słodko-pierdząco"; zapięta marynarka, gdy siedzi – niekorzystnie zmarszczona; czarna torebka do pastelowego kompletu – po prostu grzech. Ogólnie „nie ma dra-

eprasa.pl e740969244

matu", tylko „brakuje elegancji" z racji „nieobycia na salonach". Na razie – nie spełnia oczekiwań elit.

Ma wywalone na negację

Powyższe cytaty to ułamek internetowych komentarzy dotyczących wizerunku Marty Nawrockiej. Dodajmy, w dużej mierze krytycznych. Jak wynika z raportu Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura, wobec Nawrockiej stosowany jest mechanizm „powolnej degradacji", czyli przytyki dotyczące imponderabiliów, co ma na celu podważenie kompetencji danej osoby. Te pejoratywne opinie więcej mówią o naszym społeczeństwie niż aprobata. Przebija w nich odległe od obiektywizmu „szukanie dziury w całym", odzwierciedlające sympatie polityczne. Po pierwsze, porównuje się ją do Jolanty Kwaśniewskiej, oczywiście na niekorzyść tej, która ma wkrótce przeprowadzić się do Pałacu Prezydenckiego. Tymczasem, gdyby ktoś pokusił się o wizualne zestawienie pani Jolanty z początków jej „pierwszodamowania", a jeszcze nie oficjalnie namaszczoną na to stanowisko panią Martą, ta pierwsza wcale nie wypadłaby tak olśniewająco. Jest okazja: wydany kilka miesięcy temu wywiad rzeka „Pierwsza dama. Jolanta Kwaśniewska w rozmowie z Emilią Padoł" (Znak, 2024) obfituje w fotograficzną dokumentację, zarówno tę z lat 1995–2005, jak wcześniejszą i późniejszą. Otóż prawniczka i bizneswoman, „żona Olka i matka Oli", ćwierć wieku temu nie wyróżniała się specjalnym stylem i szykiem, ani – trudno, narażę się – urodą. Dopiero z czasem, otoczona sztabem fachowców, coraz zasobniejsza, zyskiwała swoją sławetną klasę. Zabawne – wiek przydał pani Kwaśniewskiej „pazura": stylowe ciuchy, dobre okulary i fryzura, nie wspominając o wspomaganiu chirurgii estetycznej.

Marta Nawrocka dopiero od kilku miesięcy zaznała miodu bycia publicznie rozpoznawalną. Przeskok od pracy w Służbie Celnej i Krajowej Administracji Skarbowej to salto mortale – a ona przeżyła i ma się świetnie.

I uwaga: kumulacja hejtów na ogół odnosi kontrproduktywny skutek. Res Futura prognozuje rychły wzrost społecznego poparcia dla nowej pierwszej damy – głównie w uznaniu za jej autentyczność, własny styl i siłę charakteru. „Na szczęście żona naszego prezydenta ma wywalone na te wszystkie negatywne opinie, jak również krytykę córeczki, bo ma u boku męża z charakterem i klasą!!!" – przytoczę ten facebookowy wpis jako głos zdrowego rozsądku.

Skrwawiony róż

Gdyby pokusić się o ranking najsłynniejszych kreacji wszystkich pierwszych dam, numerem jeden byłby kostium, o którym amerykańska krytyczka mody Cathy Horyn napisała: „Jeśli istnieje jakiś pojedynczy przedmiot, który oddaje zarówno wstyd i przemoc, które wybuchły tamtego dnia, jak i przepych, i sztuczność, które je poprzedzały, to jest to zakrwawiony różowy kostium Jackie Kennedy, kuszące okno na sławę i modę, jej powab i niezłomną determinację, rzeczy, które wiemy o pierwszej damie i te, których nigdy nie dowiemy się do końca".

O tym mało kto wie – wydarzenia z dnia, w którym zamordowano prezydenta USA Johna F. Kennedy'ego, stały się – o zgrozo! – dziełem sztuki. Tak, dramat, który wydarzył się 22 listopada 1963 roku, okazał się „materiałem" do projektów artystycznych zwanych re-enactment. W tej historycznej rekonstrukcji główną rolę odgrywała garsonka pierwszej damy. Jasnoróżowy komplet, plus toczek w tym samym kolorze, długo uchodziły za dzieło sygnowane przez markę Chanel, w istocie zaś wykonany został w nowojorskiej pracowni Chez Ninon, specjalizującej się w kopiowaniu francuskiej ekskluzywnej mody, za ich zgodą zresztą. Żona prezydenta USA postanowiła bowiem wspierać rodzimych projektantów i nie wahała się wkładać tych samych strojów (w tym – sławetnej różowej garsonki) kilkakrotnie. Także w dniu, kiedy o 12.30 w stronę prezydenta Kennedy'ego padły strzały, raniąc go w głowę i szyję. Jackie nosiła zakrwawiony kostium podczas prób reanimacji męża i mimo nalegań nie zdjęła go następnego dnia ani podczas zaprzysiężenia kolejnego prezydenta Ameryki, Lyondona B. Johnsona. Powtarzała: „Niech zobaczą, co mu zrobili". W 2003 roku córka Kennedych Caroline zdeponowała kostium w National Archives jako bezcenny skarb, gdzie ma być przechowany do 2103 roku i nigdy wcześniej nie eksponowany, żeby nie doszło do jego zbezczeszczenia czy „spowodowania smutku lub cierpienia członków rodziny".

Po śmierci męża Jacqueline całkowicie zmieniła styl, w sytuacjach publicznych, przysłaniając zawsze twarz dużymi przeciwsłonecznymi okularami. Ale to już zupełnie inna historia.

HEJTOWANO NAWROCKĄ ZA WSZYSTKO – ODRUCHY CZUŁOŚCI WOBEC MĘŻA (I VICE VERSA), WYCHOWANIE CÓRECZKI, BA! NAWET ROZWIESZANIE PRANIA NA BALKONIE OKAZAŁO SIĘ CZYNNOŚCIĄ NAGANNĄ.

eprasa.pl e740969244

Religia

Gietrzwałd OBRONIONY

Jedyne w Polsce oficjalnie uznane przez Kościół miejsce objawień maryjnych zostało uratowane przed zniszczeniem jego duchowego i krajobrazowego charakteru wielką halą magazynów odpadów Lidla.

Agnieszka Żurek

Fot. autorka

eprasa.pl e7409692

Oddolny ruch obrony Gietrzwałdu zainicjował Jacek Wiącek, a przyłączyło się do niego wiele środowisk ludzi wierzących, a także tych, którym z Kościołem jest niekoniecznie po drodze, ale którym leży na sercu ocalenie historyczno-krajobrazowego charakteru tego miejsca oraz ochrona położonych na jego terenie pomników przyrody.

Serce polskości

W sprawę obrony Gietrzwałdu włączył się m.in. nasz redakcyjny kolega Paweł Pietkun, dyrektor polskiego oddziału U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights, który w imieniu reprezentowanej przez siebie organizacji pisał listy sprzeciwu w sprawie inwestycji Lidla do jego central na terenie całej Europy. – Gietrzwałd to szczególne miejsce nie tylko dla mieszkańców Warmii i Mazur, lecz także dla wszystkich Polaków. Jeszcze niewiele ponad 100 lat temu biło tu, w środku niemieckich Prus, serce polskości. Kiedy w 1877 roku objawiła się tam Matka Boska, do dwóch dziewczynek przemawiała po polsku, w języku na tych terenach zakazanym. Tu powstał pomysł wydawania największej polskojęzycznej gazety w regionie, czyli „Gazety Olsztyńskiej" – nawiasem mówiąc, stworzył ją potomek jednej z rozmawiających z Maryją dziewczynek – przypomniał w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność". – Dzisiaj Gietrzwałd to nie tylko miejsce ważne dla katolików, miejscowość, w której centrum znajduje się zabytkowy, średniowieczny kościółek, jeden z największych skarbów naszej architektury. To również niepowtarzalny przyrodniczo kawałek Warmii, w którego pięknie można się rozpłynąć. Całość mogliśmy łatwo stracić przez inwestycję jednej z sieci – niemieckiej, a jakże! w końcu mówimy o Gietrzwałdzie – supermarketów. Rzut kamieniem od zabytkowego kościoła miała powstać gigantyczna sortownia odpadów i centrum dystrybucyjne. W obronie Gietrzwałdu natychmiast stanęli ludzie, którym na sercu leżało dobro sanktuarium. Udało się ich połączyć i skoordynować Jerzemu Szmitowi. W walce o Gietrzwałd znalazło się również miejsce dla organizacji międzynarodowych, takich jak U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights, który mam przyjemność reprezentować w Polsce. Presja ze strony takich instytucji okazała się dość ważna. Szczególnie że mogłem liczyć na moich kolegów z innych krajów, którzy również zajęli się tą konkretną inwestycją. W ten sposób protest, który z perspektywy sieci supermarketów wydawał się lokalny, a więc w miarę łatwy do opanowania, udało się umiędzynarodowić. Sprowadzić go do rangi protestów, z którymi 40 lat temu borykały się wielkie koncerny paliwowe w Afryce czy Ameryce Łacińskiej. Gietrzwałdzki sukces jest sumą działań wielu ludzi na wielu płaszczyznach. Szczęśliwie wszystkich nas połączył jeden cel – podkreślił nasz rozmówca.

Ponadpartyjny zespół parlamentarny

W przekonaniu Marka Adama, redaktora portalu opinie.olsztyn.pl, znaczenie w wycofaniu się Lidla z inwestycji w Gietrzwałdzie mógł mieć wynik wyborów prezydenckich. Informacja o tym, że centrum magazynowe powstanie jednak w innej lokalizacji, została podana do publicznej wiadomości 3 czerwca, czyli tuż po ogłoszeniu zwycięstwa wyborczego Karola Nawrockiego. „W komunikacie podano, że powodem zmiany są tzw. trudności organizacyjne i logistyczne. [...] Jak udało nam się ustalić, organizatorzy protestów spod hasła #StopLidl jeszcze w czasie kampanii wyborczej nawiązali kontakt ze sztabem obecnego prezydenta elekta. W otoczeniu Karola Nawrockiego nie brakowało osób przychylnych postulatom obrony Gietrzwałdu" – czytamy na portalu opinie.olsztyn.pl. Jego dziennikarze przypomnieli historię obrony Gietrzwałdu i cenę, którą zapłacił za podjęte działania inicjator akcji Jacek Wiącek. „To on powołał Komitet Obrony Gietrzwałdu. W kolejnych miesiącach spotkały go liczne szykany – w tym przeszukanie domu przez policję, zarzuty w lokalnych mediach, sprawy sądowe i próby zastraszania. Do protestu szybko dołączyła Fundacja im. Piotra Poleskiego, kierowana przez Jerzego Szmita. To ona przygotowała analizy zagrożeń inwestycji, organizowała konferencje prasowe, zwoływała ekspertów i prezentowała wizualizacje inwestycji. Protesty zyskały ogólnopolski charakter.

ODDOLNY RUCH OBRONY GIETRZWAŁDU ZAINICJOWAŁ JACEK WIĄCEK, A PRZYŁĄCZYŁO SIĘ DO NIEGO WIELE ŚRODOWISK LUDZI WIERZĄCYCH, A TAKŻE TYCH, KTÓRYM Z KOŚCIOŁEM JEST NIEKONIECZNIE PO DRODZE.

eprasa.pl e740969244

Powstał Ogólnopolski Komitet Obrony Gietrzwałdu, do którego dołączyli działacze społeczni z całej Polski – m.in. środowiska katolickie i konserwatywne związane z Grzegorzem Braunem. Parlamentarzyści różnych opcji – od Konfederacji, przez PiS, po PSL – powołali Parlamentarny Zespół ds. Obrony Gietrzwałdu, który jeszcze 8 maja obradował w Sejmie RP, zapowiadając przeniesienie protestów na teren Niemiec" – wskazał na łamach olsztyńskiego portalu Marek Adam. „Zespół parlamentarzystów przygotował tzw. białą księgę – dokument zawierający analizę naruszeń procedur środowiskowych, urbanistycznych i administracyjnych związanych z planowaną inwestycją. Wśród zarzutów znalazły się m.in. pominięcie konsultacji społecznych, ignorowanie sąsiedztwa obiektów sakralnych oraz zbyt powierzchowne analizy oddziaływania inwestycji na środowisko. Równolegle przed Wojewódzkim Sądem Administracyjnym w Olsztynie toczyły się kolejne sprawy dotyczące zaskarżenia decyzji środowiskowych oraz wydanego pozwolenia na budowę" – przypomniał dziennikarz. Inicjator akcji Jacek Wiącek nie żałuje poniesionych ofiar. „Walczyliśmy o ducha miejsca, o jego świętość. Dziś czuję dumę i ulgę. Warto było!" – stwierdził w rozmowie z regionalnymi mediami.

Co dalej?

O to, jaka atmosfera panuje dziś w Gietrzwałdzie, zapytałam Joannę, naszą „przewodniczkę" z czasów pisana reportażu na temat obrony tego miejsca. – Wielu mieszkańców odetchnęło z ulgą, natomiast raczej tej decyzji głośno się nie komentuje. Władze gminy są teraz skupione na ważnej dla regionu inwestycji, która ma powstać w Gietrzwałdzie, czyli Centrum Dziedzictwa, Historii i Kultury Warmii. Nowy proboszcz integruje wszystkie organizacje z okolic, aby wspólnie zorganizować 150-lecie objawień w 2027 roku. Wszystko wraca do normy i idzie w dobrym kierunku. Pojawia się pytanie, czy powstanie nowy plan zagospodarowania terenu, czy ziemia z powrotem zostanie zarolniona, czy też za parę lat ktoś znowu wymyśli jakąś dziwną inwestycję na tym obszarze. Zastanawia mnie zachowanie Lidla. Przecież tak potrzebowali nowego centrum w województwie warmińsko-mazurskim, tyle gmin proponowało im jego budowę na swoich przemysłowych terenach. A oni zamiast skorzystać z którejś z tych propozycji po wycofaniu się z Gietrzwałdu, zawinęli się z nowym centrum pod Kraków – mówi mi Joanna.

Co będzie dalej? Na pewno nie należy tracić czujności, odrolniony teren w pobliżu miejsca objawień może nadal przyciągać amatorów zysku nieliczących się z sakralnym, historycznym i krajobrazowym charakterem miejsca. Z pewnością jednak protesty – i ich skuteczność – pokazały, że każdy nowy potencjalny inwestor będzie musiał liczyć się ze zdaniem lokalnych mieszkańców oraz tej części polskiego narodu, dla którego sprawy święte wciąż święte pozostają. Lidl stał się – cytując „Fausta" – „częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąć, wiecznie dobro czynić musi". Rozsławił on Gietrzwałd na całą Polskę i poza jej granice, zaktywizował wiernych, połączył ludzi z różnych środowisk, pokazał, że warto działać i że kiedy walczy się w dobrej sprawie i z Bożą pomocą – prędzej czy później przychodzi zwycięstwo.

> ***Wątpiący też się tam nawracają, więc ciekawość jest dobrym pretekstem do odwiedzenia Gietrzwałdu. Tam Matka Boża daje siłę. Mocną wiarę.***
>
> **GRZEGORZ KASJANIUK**

Gietrzwałd warto odwiedzić w pielgrzymce dziękczynnej, np. w rocznicę objawień 27 czerwca. Warto także już teraz rozpocząć duchowe przygotowania do okrągłej, 150. rocznicy objawień, która przypada za dwa lata. Może ona stanowić doskonałą okazję do duchowej, moralnej i tożsamościowej odbudowy polskiego narodu, o co w 1877 roku apelowała Matka Boża. Jej przesłanie było proste w treści i trudne do wykonania, wymagające bowiem wiary, dyscypliny, pokory i cierpliwości. Maryja prosiła o święte życie, o porzucenie nałogów, o wytrwałą modlitwę. „Odmawiajcie codziennie Różaniec" – przypominała wielokrotnie. I jednocześnie zapewniała: „Nie smućcie się, bo Ja zawsze będę z Wami". O Gietrzwałdzie pięknie pisze w swojej książce na temat tego miejsca dziennikarz Grzegorz Kasjaniuk: „Wątpiący też się tam nawracają, więc ciekawość jest dobrym pretekstem do odwiedzenia Gietrzwałdu. Tam Matka Boża daje siłę. Mocną wiarę. Są uzdrowienia z choroby alkoholowej, z innych chorób, dana jest łaska wiary, a także łaska poczęcia, bo z problemem bezdzietności też wielu ludzi się dzisiaj boryka. Dana jest też łaska wytrwania w swoim cierpieniu, w krzyżu, który nosimy często w milczeniu. To, że Matka Boża daje nam siły do niesienia tego krzyża, też jest bardzo istotne, ponieważ w dzisiejszych czasach wielu ludzi nie daje sobie z tym rady. Gietrzwałd nie jest zapomniany, tam tli się iskra, z której wyjdzie płomień na całą Polskę, na cały świat".

eprasa.pl e740969244

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Odnóża precz od moich wierzb!

Jakiś czas temu, w związku z tym, że z trójką dzieci przestaliśmy się mieścić w pięćdziesięciometrowym mieszkaniu, przeprowadziliśmy się do małego domku z małą działeczką. Dzięki czemu ja, który zdecydowaną większość swojego życia przemieszkałem w blokach, mam okazję zrealizować swoje małe marzonka o dłubaniu w swojej ziemi.

Nie to, żebym był jakimś szczególnym pasjonatem ogrodnictwa. Na to skutecznie uodpornili mnie rodzice, którzy mieli sporą działkę ogrodową i której przekopywanie i podlewanie należało do moich obowiązków. Szczęśliwie, po tym jak udało mi się powyrywać marchewki, z obowiązku pielenia byłem zwolniony.

No, ale pomysł na to, że mogę mieć swój kawałeczek, naprawdę spłachetek ziemi, z którym mogę robić, co zechcę, jakoś mnie tam porusza. Co prawda, trudno tu mówić o „ziemi", to praktycznie sama glina, z którą są same kłopoty. Nie ma tu w zasadzie wysokiej wody gruntowej, ale wody wszędzie pełno, ponieważ, ile by jej nie spadło, to nie za bardzo jest w co wsiąkać. Tak czy siak, chciałoby się zadbać o to, żeby było ładnie. Ryżu ani kaczeńców na działce nie posadzę, ale wydaje się, że nie od rzeczy jest posadzenie roślin, które „piją" dużo wody, tak żeby pomagały mi sobie z tą wodą radzić. Podrapałem się w głowę i z pomocą Żony, która znalazła ogłoszenie, zaopatrzyłem się w sporą ilość długich „kijów" wierzby energetycznej, które postanowiłem posadzić przy płocie, tam, gdzie zbiera mi się woda.

Ludzie, ile to się trzeba było z tym naszarpać. Kopaliście kiedyś glinę? Musiałem wyszarpać, ile się dało, może wierzba dałaby sobie radę i na glinie, ale Żona zażyczyła sobie jeszcze hortensje, więc na ile się dało, wyszarpałem od połowy do półtora metra głębokości gliny, żeby zastąpić ją jakąś sensowną ziemią. Czego ja tam nie wykopywałem? Kieszenie wodne, jakieś stare konary, gigantyczne turkucie. A była to koronkowa robota, bo jednocześnie musiałem uważać na rury odprowadzające wodę z rur spustowych dachu. Z gliny, którą wyszarpałem, w chwilach odpoczynku lepiłem sobie ludzkie głowy w ramach wprawek rzeźbiarskich.

Potem wszystko zasypałem ziemią, posadziłem wierzby przy płocie, tworząc coś w rodzaju wierzbowego żywopłotu, przykryłem wszystko agrowłókniną i zasypałem granitowymi kamyczkami. No bajka. Urobiłem się strasznie, ale efekt był tego wart. Pewnym chichotem „klimatu" było to, że jak na złość lato przyszło wtedy suche i musiałem codziennie te wierzby podlewać, bo potrzebowały naprawdę dużo wody.

I, słuchajcie, na wiosnę patrzę, a tam pod moimi wierzbami są jakieś kupki wiórów. Co za czort? Patrzę dokładniej, a tam jakieś małe sukinsyny wiercą w moich wierzbach dziurki, w wyniku czego te tracą liście. Pryskałem to już różnymi „azotoksami", ale wracają bez żadnego szacunku do mojej pracy.

Szwagier, ogrodnik, mówi, że to może być niejaki wyschlik wierzbowiec albo jątrewka pospolita. A dla mnie to są sukinsyny. Nie wiecie, co się z takimi robi?

eprasa.pl e740969244

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

Turyści (nie)mile widziani

Paweł Pietkun

ŚWIAT, KTÓRY MIAŁ STAĆ SIĘ GLOBALNĄ WIOSKĄ, NIEOCZEKIWANIE ZAMYKA się na przyjezdnych – i nie chodzi tu wcale o imigrantów. Turyści, z których przez wieki żyły największe miasta Starego Kontynentu, coraz częściej słyszą od miejscowych, że nie są mile widziani. Czasem to kwestia wprowadzenia nowych, wcale nie takich niskich podatków – po to sięgają Anglicy. Kiedy indziej, tak jak to dzieje się od roku w Hiszpanii i w niektórych włoskich miastach, trzeba liczyć się z gorzkimi słowami, a nawet nastawić się na kubeł zimnej wody. To oczywiście ostateczność, jednak „zastrzelenie" z pistoletu na wodę jest już niemal codziennością.

Zdjęcie z antyturystycznego protestu mieszkańców La Palmy na Majorce pojawiło się w każdym magazynie podróżniczym świata. Młodzi, wyglądający na studentów ludzie idący uliczką z jednego z najbardziej rozpoznawalnych placów hiszpańskich Balearów są uśmiechnięci i gdyby nie transparent, można byłoby pomyśleć, że to przeciętny letni dzień w jednym ze śródziemnomorskich kurortów.

Nasza nędza

Uśmiechnięty 20-latek niesie na długim drągu kawałek kartonu z napisem: „Tourist, your luxury, our misery", czyli „Turysto, twój luksus to nasza nędza". To szokuje, szczególnie jeśli wczytać się w historię tego miejsca, które rzeczywiście jeszcze kilkadziesiąt lat temu było pełne nędzarzy – przynajmniej z perspektywy przyjezdnych z zachodniej Europy, Stanów Zjednoczonych i bogatych krajów Azji. Jednak dzięki turystyce mieszkańcy miasta – podobnie jak całego archipelagu Balearów – mogą mówić o gospodarczym cudzie.

> „Tourist, your luxury, our misery", czyli **„Turysto, twój luksus to nasza nędza"**

To tu znajduje się jeden z najbardziej ruchliwych portów lotniczych w Europe, a malowniczy port morski jest miejscem docelowym dla setek wielkogabarytowych statków wycieczkowych, które dowożą na Majorkę tysiące miłośników nocnej zabawy w dyskotekach i klubach, szastających dużymi – z perspektywy mieszkańców – pieniędzmi tylko po to, żeby przez kilka dni zamiast chrześcijańskim świętym kłaniać się pogańskim bóstwom wina i – niestety – również lokalnym dealerom narkotykowym, którzy specjalizują się w sprzedaży środków pozwalających na ciągłą zabawę przez przynajmniej kilka dni i nocy.

Co roku La Palmę odwiedza kilka milionów osób, przy czym w 2018 roku liczba ta okazała się rekordowa, bo sięgnęła niemal 10 milionów przyjezdnych (przy ponad 500 tys. populacji mieszkańców), czyniąc z miasta 15. najczęściej odwiedzaną destynację turystyczną w skali świata. Zarabiają na tym nie tylko lokalsi – to również duży wpływ do kasy miasta i hiszpańskiego kościoła. Tutejsza, budowana od 1230 roku przez kolejne kilkaset lat katedra (ukończono ją w 1600 roku) jest – obok madryckiej katedry Matki Bożej Almudena i znajdującej się w Barcelonie charakterystycznej katedry Sagrada Familia, którą projektował Antonio Gaudi, jeden z najbardziej znanych architektów świata – najbardziej rozpoznawalną hiszpańską świątynią.

To od La Palmy rozpoczęła się fala antyturystycznych protestów w Hiszpanii, która błyskawicznie rozlała się na całą Europę, stając się początkiem zmian nieprzewidywanych nawet przez najlepszych specjalistów od turystyki. Fala ta najgłośniej przetoczyła się i przetacza przez Barcelonę, stolicę Katalonii, w której

eprasa.pl e740969244

– jak w laboratorium – najlepiej widać, jak może skończyć się niekontrolowane otwarcie na turystów z całego świata.

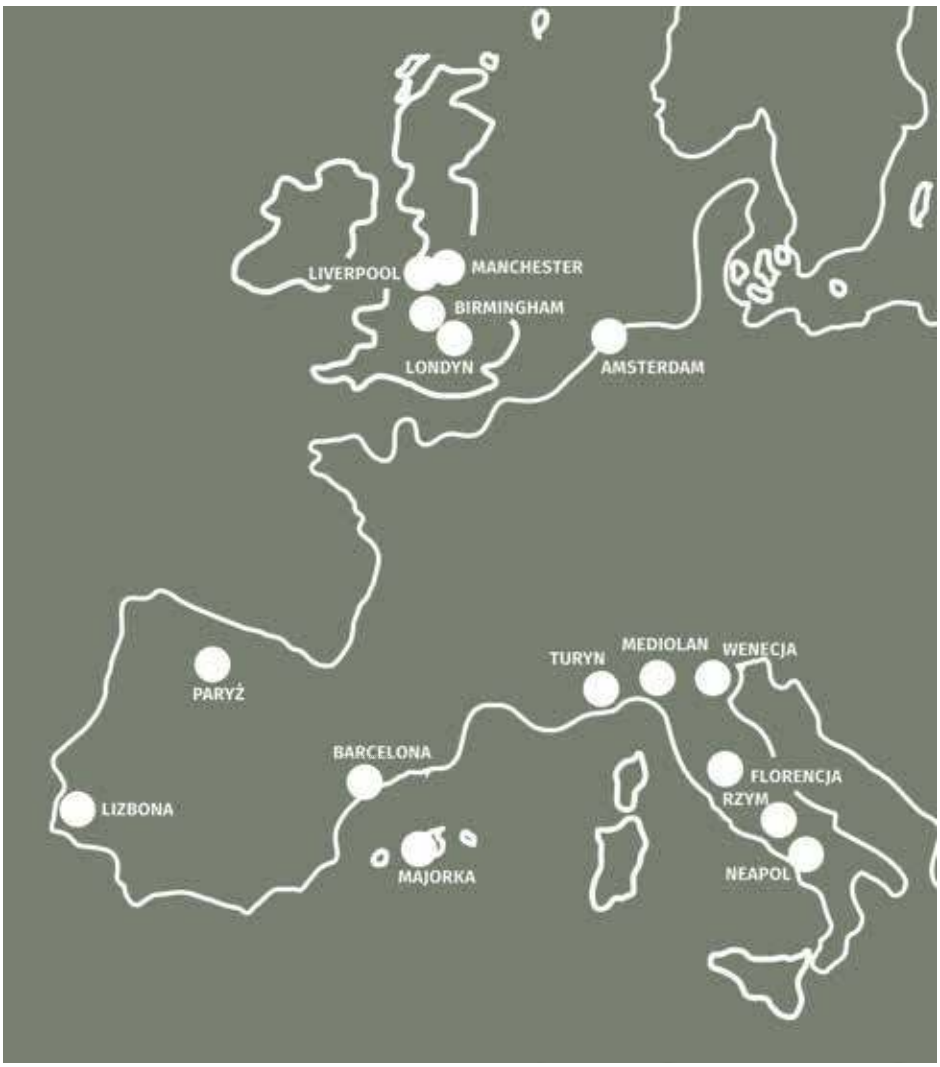

Wodą w turystów

Kiedy w 2024 roku na pierwszych stronach europejskich i światowych gazet pojawiły się artykuły – bogato ilustrowane zdjęciami – z informacjami o niechęci okazywanej turystom przez mieszkańców Barcelony, większość czytelników (i turystów) była przekonana, że Hiszpanom chodzi o... brak miejsca w kawiarniach podczas wyjątkowo długiego sezonu turystycznego, kiedy są one okupowane przez przyjezdnych. To właśnie w nich najczęściej można było zostać oblanym wodą – wystarczyło wyglądać na kogoś przyjezdnego i posługiwać się innym niż katalońska odmiana hiszpańskiego językiem. Niektórzy mieszkańcy okupowali wejścia do popularnych hoteli, uniemożliwiając turystom wejście do środka lub odwiedzanie miejsc opisywanych w przewodnikach jako obowiązkowa destynacja.

Powód tej niechęci, co pokazały następne miesiące, był jednak dużo poważniejszy niż brak miejsca w kawiarniach. Okazało się bowiem, że setki tysięcy mieszkań przygotowanych pod wynajem krótkoterminowy (Airbnb) doprowadziły do bezprecedensowego kryzysu na rynku mieszkaniowym w mieście. Mieszkańcy Barcelony nie mieli szansy na wynajem mieszkania, a nierzadko również na to, żeby sobie takie mieszkanie kupić. Ceny na rynku nieruchomości przebijały te w największych stolicach świata, co doprowadziło do sytuacji, w której stać na nie było wyłącznie firmy poszukujące mieszkań jako inwestycji pod turystyczny wynajem. To skutkowało kolejnym wzrostem cen i jeszcze głębszym kryzysem mieszkaniowym w stolicy Katalonii.

Niechęć do turystów wzmacniał coraz większy bałagan zostawiany przez przyjezdnych, którzy – na co zwracali uwagę również specjaliści od zabytków – zaczynali niszczyć to, z czego Barcelona słynęła najbardziej, służby miejskie zaś nie nadążały z czyszczeniem i naprawianiem zabytkowych miejsc. Podobnie było ze środowiskiem naturalnym – w parkach Barcelony i podmiejskich siedliskach charakterystycznych dla Katalonii zwierząt coraz częściej pojawiały się obce gatunki przywożone przez turystów, które wypierały te rodzime.

eprasa.pl e740969244

Włosi śladem Katalończyków

Protesty w Barcelonie okazały się skuteczne. Burmistrz miasta wprowadził plan ograniczenia wynajmów krótkoterminowych, z czasem zabraniając kupowania nowych mieszkań wyłącznie pod rozbudowę bazy noclegowej. Pod koniec roku Barcelona wprowadziła zaś jeden z największych w świecie (i największy w Europie) podatek turystyczny wynoszący obecnie przy maksymalnej stawce 15 euro od osoby za dobę. W ten sposób stolica Katalonii stała się najdroższym turystycznie miastem na Starym Kontynencie, wyprzedzając Paryż i Rzym.

Generalitat, czyli rząd Katalonii, ma przeznaczać 25 proc. otrzymywanej połowy zysków z tego podatku (reszta trafia do hiszpańskiego budżetu centralnego) na politykę mieszkaniową, choć do tej pory cała ta kwota była przeznaczana wyłącznie na promocję turystyki.

Po Barcelonie przyszedł czas na inne hiszpańskie miasta – w tym Malagę. A – to już w tym roku – o ograniczeniu ruchu turystycznego zaczęły głośno mówić (i wprowadzać podobne rozwiązania) najbardziej znane włoskie miasta.

Burmistrz Neapolu Gaetano Manfredi (również szef Stowarzyszenia Włoskich Gmin) dołączył do przedstawicieli władz lokalnych we Włoszech, którzy apelują do rządu o przyjęcie przepisów ograniczających zjawisko tzw. nadmiernej turystyki.

– Nie można dłużej czekać – mówił w mediach, domagając się od rządzących przyjęcia specjalnej ustawy ograniczającej ruch turystyczny. – Zwróciliśmy się do rządu o przyjęcie ustawy, która umożliwi uregulowanie zjawiska i połączy to, co jest wolną inicjatywą biznesu, z ochroną terytorium i jego wartości oraz życiem codziennym.

Ograniczanie turystyki rozpoczęły również Wenecja i Florencja, a w tym sezonie turystycznym mają je prowadzić także władze wyspy Capri oraz miasteczek w krainie Cinque Terre w Ligurii. Większość z nich wzoruje się na rozwiązaniach wprowadzonych w Hiszpanii, czyli ograniczenie możliwości najmu krótkoterminowego i znaczne podniesienie podatku turystycznego.

Turystów mają również dosyć lokalne władze i mieszkańcy portugalskiej Lizbony oraz holenderskiego Amsterdamu. Swoją gigantyczną popularność Amsterdam zawdzięcza przede wszystkim holenderskiemu pozwoleniu na legalne kupowanie tzw. narkotyków miękkich, czyli marihuany i haszyszu, które ściągały do Holandii rzesze młodych Europejczyków, chcących posmakować tej szczególnie pojmowanej wolności przede wszystkim w latach 90. XX wieku. Była to jednak grupa turystyczna, która nie generowała zbyt dużych przychodów w branży – zdarzało się, że zamiast hoteli i prywatnych apartamentów okupowali oni raczej miejskie ławki i mosty, zamiast zabytkami zaś bardziej interesowali się kawiarniami, w których można było zapalić skręta z konopi indyjskich.

Opinia Amsterdamu jako mekki dla wyzwolonej młodzieży pokutuje do dzisiaj. Stąd decyzja władz o drastycznym podniesieniu podatku turystycznego, który trzeba płacić, nawet jeśli „turyści" zdecydują się na nocleg pod chmurką, a nie w hotelu, hostelu czy przygotowanym dla turystów prywatnym apartamencie.

Wielka Brytania wprowadza podatki

Dodatkowe opodatkowanie turystyki stało się również planem Koalicji Burmistrzów Anglii, której przewodzi burmistrz Liverpool City – Steve Rotheram. Jego zdaniem wysoka opłata turystyczna umożliwiłaby pozyskanie niezbędnych funduszy na infrastrukturę turystyczną i kulturalną, wzmocniłaby rozwój regionalny i zmniejszyłaby zależność od środków finansowych przyznawanych przez rząd centralny, o czym piszą media na Wyspach Brytyjskich.

Na biurko odpowiedzialnej za turystykę minister kultury i minister finansów trafiło w ubiegłym tygodniu pismo podpisane przez burmistrzów Liverpoolu, Manchesteru, Londynu, Leeds, Newcastle i Birmingham oraz hrabstw i regionów West Yorkshire, North East i West Midlands, w którym domagają się rozwiązań na poziomie całego królestwa. Wprowadzenie 5-funtowego podatku przyniosłoby tym miastom (tylko Liverpool odwiedza rocznie 60 milionów turystów) do 40 milionów funtów rocznie. Rządy Szkocji, Walii i Irlandii Północnej podobne podatki wprowadziły już w poprzednich latach, co pozwoliło zapanować nad niekontrolowaną turystyką, a przede wszystkim zasilić miejskie i regionalne kasy.

– A turystyka będzie musiała się zmienić – zwracają uwagę eksperci. – Być może wróci do czasów, kiedy podróże stricte turystyczne były po prostu drogie i dostępne wyłącznie dla bardziej zamożnych.

eprasa.pl e740969244

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Dziś zdjęcie kompasu.

Tomek: – To nie byle jaki kompas. Znaleziono go w Trzciankce przy zwłokach „Jędrusia". Już wówczas szybka była roztrzaskana. Był w moim domu od zawsze, Mama ma go od czasu II wojny światowej, kiedy działała w organizacji konspiracyjnej „Jędrusiów".

– Czym się zajmowała Pańska Mama?

– Uczestniczyła w redagowaniu podziemnego pisma „Odwet", przeprowadzała akcje kolportażu i wysyłała paczki dla polskich jeńców w oflagach.

– Uczestniczyła także w pogrzebie „Jędrusia".

– Tak. Mam zdjęcie z tego wydarzenia, na którym ją widać. To było w 1943 roku. Zginął w walce z Niemcami w Trzciance, a razem z nim Antoni Toś ps. „Antek" i Marcin Gorycki „Polkier". Na ich wspólnym grobie umieszczono napis:

„A gdy dzieci zapomną, że mieszkały w schronach,
że widziały dni straszne, ponure i krwawe,
niechaj tylko to jedno pamiętają o nas,
żeśmy padli za wolność, aby była prawem".

– Co było później?

– Oboje byliśmy świadkami m.in. odsłonięcia pomnika upamiętniającego „Jędrusiów" w latach siedemdziesiątych przy trasie Osiek – Połaniec. Kolega Mamy z „Jędrusiów" powiedział: „Tomek, tam na trybunie stoją SB-cy, którzy ścigali nas i wsadzali do więzień".

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl e740969244

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

PKP CARGO ZWALNIA. „S” apeluje do premiera

Fot. M. Żegliński

Sekcja Zawodowa NSZZ „Solidarność” Grupy PKP Cargo wystosowała pismo do premiera Donalda Tuska w związku z kolejną już falą zwolnień grupowych u największego w Polsce operatora kolejowych przewozów towarowych.

PKP Cargo w restrukturyzacji ogłosiło 6 czerwca, że „z powodu trudnej sytuacji ekonomiczno-finansowej oraz spowolnienia na rynku kolejowych przewozów towarowych, które przekładają się na spadek wolumenu przewozów i zmniejszenie zapotrzebowania na pracę”, zamierza przeprowadzić zwolnienia grupowe, które obejmą do 1041 osób w 2025 i do 1388 osób w 2026 roku.

W obliczu kolejnych zwolnień grupowych związkowcy z Solidarności pytają premiera Donalda Tuska, „czy na tym właśnie polega deklarowana polityka repolonizacji kluczowych spółek państwowych”, a także, czy premier „zgadza się z tak drastyczną wizją restrukturyzacji, która sprowadza się do redukcji zatrudnienia na tak ogromną skalę, zamiast realnego rozwoju i budowania przewagi konkurencyjnej”.

Solidarność chce także dowiedzieć się, czy premier jest gotów do osobistej interwencji i wesprzeć spółkę PKP Cargo, tak jak odbyło się to w przypadku innych przedsiębiorstw.

„PKP CARGO S.A. formalnie jest spółką akcyjną, jednakże właśnie to PKP S.A., będąca spółką Skarbu Państwa, sprawuje realny wpływ na jej funkcjonowanie i strategiczne decyzje. Czy rząd, jako właściciel i podmiot mający decydujący głos poprzez PKP S.A., realnie dąży do odbudowy i wzmocnienia spółki, czy też proponowane rozwiązania restrukturyzacyjne, oparte na masowych zwolnieniach, doprowadzą do jej marginalizacji lub stopniowego zaniku?” – czytamy w piśmie do Donalda Tuska.

„Jakie konkretne, alternatywne do masowych zwolnień, rozwiązania restrukturyzacyjne rząd bierze pod uwagę, aby

eprasa.pl e740969244

Fot. M. Zegliński

„O strategii dla hutnictwa, której tworzenie trwało 6 miesięcy, dowiedzieliśmy się pod koniec minionego tygodnia. Dano nam zaledwie 6 dni roboczych, aby się z tą strategią zapoznać. To niedopuszczalne”.

Andrzej Karol, szef hutniczej „S”, solidarnosckatowice.pl, 16 czerwca br.

zapewnić przetrwanie i rozwój PKP CARGO S.A.? Czy analizowane są strategie oparte na inwestycjach, dywersyfikacji usług, czy też aktywnym pozyskiwaniu nowych kontraktów, które pozwoliłyby nie tylko zredukować koszty, ale przede wszystkim utrzymać i tworzyć miejsca pracy?” – pytają związkowcy.

SZEF „S” W „SIARKOPOLU” ZOSTAJE

Paweł Dendera zostaje w „Siarkopolu”. Firma postanowiła jednak nie rozwiązywać umowy o pracę z przewodniczącym zakładowej Solidarności. Szef Związku w „Siarkopolu” otrzymał wypowiedzenie od byłego prezesa 2 czerwca br. Zarzucono mu wówczas rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji godzących w dobre imię pracodawcy. Tego samego dnia prezes Mirosław Michalski złożył rezygnację z pełnionej funkcji.

PIKIETA ETO MAGNETIC

Dolnośląska Solidarność wsparła pracowników ETO MAGNETIC podczas pikiety, która odbyła się przed siedzibą zarządu spółki 16 czerwca br. Zakładowa Solidarność domaga się sprawiedliwego traktowania pracowników, podwyżek wynagrodzeń o średnio 650 zł, utworzenia Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych oraz uczciwego regulaminu wynagradzania. ETO MAGNETIC zajmuje się produkcją cewek i elektromagnesów dla branży samochodowej. W trakcie pikiety przewodniczący Regionu Kazimierz Kimso próbował bezskutecznie przekazać petycję z postulatami pracowników.

PIELGRZYMKA DO KRZESZOWA

Ponad 150 związkowców z dwóch Regionów NSZZ „Solidarność”: Jeleniogórskiego oraz Zagłębia Miedziowego, przybyło 15 czerwca do sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie. Związkowcy wystawili też 10 pocztów sztandarowych.

Głównym punktem pielgrzymki była Msza Święta, która odbyła się w samo południe w krzeszowskiej bazylice pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Świątynia została wskazana w tym roku jako kościół jubileuszowy, w związku z czym można uzyskać w niej odpust zupełny.

Wierni modlili się także w kościele św. Józefa i zwiedzili sanktuarium Matki Bożej Łaskawej, do którego każdego roku przybywa ponad 120 tysięcy turystów i pielgrzymów.

Coroczna pielgrzymka do Krzeszowa gromadzi na modlitwie przedstawicieli różnych zakładów pracy oraz środowisk związkowych z Dolnego Śląska. Jest ona także okazją do ściślejszej integracji i budowania jedności członków Związku.

UMOWA O WSPÓŁPRACY

Krajowy Sekretariat Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „S” oraz włoski związek zawodowy FAI CISL podpisały 4 czerwca br. w Bolonii memorandum o współpracy. Związkowcy zadeklarowali m.in. wolę wymiany informacji i doświadczeń z obu krajów czy współpracę z innymi organizacjami związkowymi w celu budowania sieci solidarności i zwiększenia skuteczności kampanii w ramach EFFAT.

MINIMALNA KRAJOWA 2026

Rząd zaproponował, aby minimalne wynagrodzenie za pracę w przyszłym roku zostało podniesione o 3 proc. do kwoty 4806 zł brutto, a stawka godzinowa wynosiła 31,4 zł. Strona społeczna, w tym NSZZ „Solidarność”, domaga się 5015 zł, czyli podwyżki o niecałe 7,5 proc.

Sąd po stronie „Turowa”

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie postanowił oddalić skargi samorządów i organizacji ekologicznych w sprawie „Turowa”. Decyzja sądu oznacza utrzymanie w mocy rygoru natychmiastowej wykonalności decyzji środowiskowej dla KBW „Turów”. Dzięki temu spółka może realizować zadania na rzecz ochrony środowiska i uzyskiwać zgody administracyjne dla działalności wydobywczej. Wyrok WSA zapadł 10 czerwca i jest nieprawomocny.

M.K.

Kalendarium Solidarności

1.07.1982 – w Brukseli powstaje Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” za Granicą. Głównym jego zadaniem jest reprezentowanie „S” w kontaktach z międzynarodowymi centralami związkowymi.

eprasa.pl e740969244

PRAWO

ODPOWIEDZIALNOŚĆ RODZICÓW I WŁAŚCICIELI ZWIERZĄT w praktyce

Niedawno miałem dość nieprzyjemną sytuację, mój syn bawił się z naszym psem na podwórku i przypadkowo uszkodził sąsiadowi samochód – porysował lakier. Sąsiad oczywiście nie był zadowolony i domagał się odszkodowania. Czy **w każdym przypadku** jako rodzic jestem za to odpowiedzialny, nawet jeśli była to wina psa?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Zacznę od tego, że takie sytuacje niestety zdarzają się bardzo często i bywają źródłem sporów między sąsiadami czy nawet najbliższą rodziną. Prawo jasno określa zasady odpowiedzialności, ale w praktyce wiele osób nie zna swoich praw i obowiązków, co prowadzi do nieporozumień. Jeśli chodzi o szkody wyrządzone przez nasze pociechy, to zgodnie z Kodeksem cywilnym rodzice lub opiekunowie prawni odpowiadają za szkody wyrządzone przez swoje dziecko, jeżeli powstały one wskutek braku należytego nadzoru. Oznacza to w praktyce, że jeśli rodzic nie dopilnował, by jego dziecko nie wyrządziło szkody, ponosi on odpowiedzialność finansową. Natomiast jeśli rodzic dołożył wszelkich starań, aby dziecko było pod kontrolą, a mimo to doszło do szkody, może się obronić, wskazując na brak swojej winy. Powyższe wynika wprost z Kodeksu cywilnego, który stanowi, że ten, kto jest zobowiązany do nadzoru nad osobą, której z powodu wieku albo stanu psychicznego lub cielesnego winy poczytać nie można, jest wówczas obowiązany do naprawienia szkody wyrządzonej przez tę osobę, chyba że uczynił zadość obowiązkowi nadzoru albo że szkoda powstałaby także przy starannym wykonywaniu nadzoru.

Przykładowo: jeżeli dziecko bawiło się na podwórku pod nadzorem osoby dorosłej i nagle zniszczyło samochód sąsiada, to ten dorosły odpowiada za niewłaściwy nadzór. Jednak jeśli dziecko na chwilę uciekło spod kontroli, a rodzic podejmował kroki, by temu zapobiec, odpowiedzialność może być ograniczona lub nawet wyłączona. W praktyce to do poszkodowanego należy wykazanie, że rodzic nie dołożył należytej staranności. Z kolei w przypadku zwierząt domowych odpowiedzialność jest znacznie bardziej rygorystyczna. Właściciel zwierzęcia ponosi odpowiedzialność za wszelkie szkody, które ono wyrządzi, bez względu na to, czy właściciel był w stanie im zapobiec. Nazywamy to odpowiedzialnością za rezultat. Oznacza to, że jeśli pies przyczynił się do uszkodzenia auta, czyli zniszczył cudze mienie, to właściciel pupila, czyli w tym przypadku Pan, musi naprawić wyrządzoną szkodę, nawet jeśli pies był pilnowany.

Co ważne, właściciel zwierzęcia może w pewnych sytuacjach próbować dochodzić zwrotu poniesionych kosztów od osoby, która sprowokowała zwierzę do agresji, ale to osobna i często skomplikowana procedura. W praktyce najlepiej posiadać odpowiednie ubezpieczenie OC, które pokryje ewentualne roszczenia osób poszkodowanych. Takie ubezpieczenia są coraz bardziej popularne i często wliczone w polisy mieszkaniowe lub domowe. Warto także podkreślić, że odpowiedzialność cywilna może obejmować nie tylko pokrycie szkód materialnych (np. naprawę porysowanego samochodu), ale również szkód niematerialnych, takich jak stres czy utrata komfortu życia, jeśli są udowodnione. W sytuacjach, gdy dochodzi do szkody, najlepszą drogą jest próba polubownego rozwiązania konfliktu, czyli rozmowa z sąsiadem, ustalenie kosztów naprawy i ewentualne rozłożenie płatności na raty. Sądowe spory bywają czasochłonne i kosztowne, dlatego zawsze warto spróbować porozumienia.

eprasa.pl e740969244

Podsumowując, jako rodzic i właściciel zwierzęcia ponosi Pan odpowiedzialność za szkody, które wyrządziły dzieci i zwierzęta pod Pana opieką. Prawo stawia jednak wymagania co do tego, czy nadzór był należyty i czy właściciel zwierzęcia miał realną możliwość zapobieżenia szkodzie. Znajomość tych zasad pozwala nie tylko uniknąć przykrych niespodzianek, ale także budować dobre relacje sąsiedzkie.

PRACOWNICY MŁODOCIANI

W obecnych czasach nie budzi wątpliwości stwierdzenie, że dzieci nie powinny pracować. Są one za to objęte obowiązkiem szkolnym, jako że nauka jest obowiązkowa do ukończenia 18. roku życia (art. 35 ust. 1 ustawy Prawo oświatowe). Potwierdza to także art. 22 § 2 zdanie 1 Kodeksu pracy, w myśl którego pracownikiem może być osoba, która ukończyła 18 lat. Jednocześnie na to, że zasada ta nie jest absolutna, wskazuje art. 65 ust. 3 konstytucji, zgodnie z którym stałe zatrudnianie dzieci do lat 16 jest zakazane.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

O TYM, ŻE TAKŻE NA POZIOMIE KODEKSU PRACY warunkowo można zatrudniać osoby niepełnoletnie, świadczy zdanie 2 przywołanego art. 22 § 2, który wskazuje, że na warunkach określonych w dziale dziewiątym pracownikiem może być również osoba, która nie ukończyła 18 lat. Dział dziewiąty kp zatytułowany jest „Zatrudnianie młodocianych" i poświęcony jest właśnie regułom legalnego nawiązywania stosunku pracy przez osoby młodsze niż 18 letnie.

W art. 190 § 1 kp ustawodawca definiuje młodocianego, wskazując, że jest to osoba, która ukończyła 15 lat, a nie przekroczyła 18 lat.

Przede wszystkim należy wskazać, że podstawowym celem, dla którego realizacji dopuszcza się nawiązanie stosunku pracy z młodocianym, jest zdobycie przez niego kwalifikacji zawodowych. W praktyce dotyczy to przede wszystkim uczniów szkół branżowych I stopnia (dawniej określanych jako szkoły zawodowe). Celem tych szkół jest nie tylko nauka uczniów, ale także umożliwienie zdobycia im kwalifikacji zawodowych (a tym samym także doświadczenia zawodowego), które uzyskuje się podczas praktyk zawodowych.

Innymi słowy – młodociani pracownicy to przede wszystkim osoby, które równocześnie uczą się i pracują. Przygotowanie zawodowe odbywa się w formie nauki zawodu (trwająca co do zasady nie dłużej niż 3 lata) lub przyuczenia do wykonywania określonej pracy (które trwa od 3 do 6 miesięcy).

Ze względu na szczególny charakter zatrudnienia młodocianych przepisy przewidują także wyjątkowe rozwiązania obejmujące tę grupę zawodową. Należy tu wskazać m.in. regulacje dotyczące czasu pracy (np. bezwzględny zakaz zatrudniania w porze nocnej i godzinach nadliczbowych, wliczanie do czasu pracy czasu nauki wynikającego z programu zajęć szkolnych czy też dłuższe okresy odpoczynku dobowego i tygodniowego), wynagradzania (minimalne wynagrodzenie młodocianych wynosi nie mniej niż 8, 9 i 10% wynagrodzenia miesięcznego odpowiednio w pierwszym, drugim i trzecim roku nauki w szkole branżowej), bhp (zakaz pracy przy czynnościach wzbronionych młodocianym) czy urlopu (26 dni urlopu w roku i obowiązek udzielenia go w okresie ferii szkolnych).

O ile zdobycie kwalifikacji zawodowych jest podstawowym celem zatrudnienia młodocianych, to przepisy dopuszczają jednak także inny cel zatrudnienia, tj. cel zarobkowy. Służy temu konstrukcja zatrudnienia przy pracach lekkich, tj. takich, które nie powodują zagrożenia dla życia, zdrowia i rozwoju psychofizycznego młodocianego, a także nie utrudniają mu wypełniania obowiązku szkolnego (art. 200^1 i 200^2 kp). W takim wypadku również obwiązują zmodyfikowane reguły dotyczące czasu pracy młodocianych, ale nabywają już oni prawo do otrzymywania co najmniej minimalnego wynagrodzenia za pracę.

Kończąc ten wątek, należy jeszcze uzupełniająco wskazać, że co prawda zasadniczą regułą jest zakaz zatrudniania osób młodszych niż 15 lat, ale od niej także przewidziane są pewne wyjątki (w art. 191 § 2^1–2^3).

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl e740969244

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Marcin Darmas (Autorytarny..., s. 42), socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie" (Wydawnictwo UW, 2019).

Piotr Grzybowski (Chodzi o..., s. 25), inżynier, publicysta specjalizujący się w tematyce społeczno-politycznej oraz bezpieczeństwa i geopolityki, związany z redakcjami prasy, radia i telewizji; autor i współtwórca audycji radiowych i telewizyjnych programów historycznych; działacz społeczny.

Marcin Krzeszowiec (Czy rząd..., s. 34), pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2021 roku. Aktualny gospodarz naszej rubryki „Co w związku".

Monika Małkowska (Kiecka..., s. 59), jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Remigiusz Okraska (Jaki jest..., s. 10), publicysta i działacz społeczny. Współtwórca i redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel". Jego felietony ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od 2024 roku.

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 54), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl e740969244

REPUBLIKA

Przegląd najistotniejszych tematów i wydarzeń politycznych z autorskim komentarzem **Rafała Ziemkiewicza.**

PIĄTEK

17:30

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl e740969244

WYDANIE SPECJALNE

10 lat Trójmorza

Historia i przyszłość Europy Środkowej

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL
I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH